



ŻÓŁTY GENERAL.

Z OPOWIADAŃ WIECZORNICH.

SPISAZ

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI.

(Dokończenie.)

VI.

Na widok, który mnie tu uderzył, zadrzałem i prawie zachwiałem się na nogach.

Z trudnością powstrzymałem wykrzyk, który mi się wyrwał z piersi...

W izdebce, do której zaglądnąłem, ujrzałem moją Helenkę....

Krew mi uderzyła do głowy z radości i dziwnego wzruszenia, a serce tak mocno bić zaczęło, iż zdało mi się, że z piersi się wydrze...

Helenka była śmiertelnie bladą, a na ślicznej twarzyczce jej znać było ślady przebytego cierpienia.... Liczka jej, tak pełne i rumiane dawniej, tak uśmiechające się swobodą i wesołością, zapadły jakby po ciężkiej słabości; koralowe usteczka wyglądały jak pączki różane, więdnące przed rozkwitem....

Ubrana była widocznie do ślubu: cała w bieli, z wiankiem na głowie.... Objąłem ją spojrzeniem i oczu od niej oderwać nie mogłem.... Co się działo w mem łonie, opisać nie zdołam.... Przejmowały mnie równocześnie i uczucia radości i dreszcze gniewu i żałośnie jakieś wzruszenia....

Stałem chwilę nieruchomy i zapatrzony, a im dłużej przyglądałem się mojej odszukanej kochance, tem więcej wyczytywałem smutku i cierpienia na nadobnej jej twarzy.... Główkę pochyliła ku ziemi, jakby w boleśnej zadumie, oczy jej łzami zaszczyły, a z pod bieli wznosiła się i upadała jej pierś, jakby pod wpływem ciężkiego wzruszenia....

Widok Helenki tak wyłącznie zajął był wzrok mój, że dopiero po chwili dostrzegłem, że nie była w pokoju sama. Ujrzałem tuż przed nią wysokiego i bladego mężczyznę, który coś do niej żywo przemawiał.

Był to młody Szalborski.

Ubrany był bardzo strojnie i bogato, a na piersiach swych miał bukiet weselny. Nie trudno mi było odgadnąć, że to on w całej tej podłej komedii odgrywa rolę pana młodego...

W drugim kącie pokoju siedziała w staroświecko-strojnym, wzorzystym i barwistym ubiorze, ozdobnym mnóstwem wstęg i kokard jaskrawych, panna Kokorzyńska, i zanosila się biedaczka od płaczu....

Nie mogłem słyszeć ani słówka z rozmowy, którą widocznie młody Szalborski prowadził z Helenką. Domyśleć się tylko mogłem z jego ruchów i z wyrazu jego twarzy, że albo nalegał, albo żywo coś perswadował. Helenka słuchała blada i drżąca, a od czasu do czasu poruszały się jej usta, lecz nie mogłem poznać, czy ulatywały z nich słowa, czy jęki boleści....

Widziałem dalej, jak młody Szalborski ukląkł przed nią, jak uchwycił jej dłoń i pocałunkami ją okrywał.... Potem podniósł się, ujął ramieniem kibić Helenki, i usiłował podnieść ją z krzesła, a ona opierała się i z głową pochyloną chwiała się, jakby w zemdleniu....

Dość było dla mnie tego widoku.

Uczułem, że nadeszła stanowcza chwila. Drzałem cały jakby w febrze od wzruszenia gwałtownego, serce i głowa kipiały.

Ani czas ani usposobienie moje nie były po temu, aby się namyślać długo. Instynktem tylko raczej, niż skutkiem rozmysłu, obmacałem pistolety, czyli są u pasa w pogotowiu.... Uchwyciłem nagle i z wielką siłą okiennice i rozzerwawszy w jednej chwili średnie zawiaski roztworzyłem je. Blask światła oblał mnie pełną strugą, stałem już teraz przed gołemi szybami. Okienka były małe i o pojedynczych tylko ramach.

Ująłem ramy silnemi dłońmi z dwóch stron i jednym nagłem i gwałtownem pchnięciem wysadziłem całe okno....

Łomot okropny się zrobił, szkło z głośnym brzękiem padło w środek pokoju. W tejże samej chwili wskoczyłem przez okno i znalazłem się przy Helence....

Nie mogę opisywać wrażenia, jakie sprawiło to nagle przybycie niespodziewanego gościa, bo tego już sam widzieć nie mogłem. Usłyszałem tylko potrójny okrzyk przestraszenia....

Mimo formalnego szału, w którym się znajdowałem, miałem tyle przytomności — i dziwię się temu dziś jeszcze — że zaraz stanąłem u drzwi, które jak zmiarkować mogłem, prowadziły do sąsiednich pokoi, domyślałem się bowiem, że tam znajdować się musi całe grono weselnej drużby.

Stanąwszy tak u drzwi i przyparłszy je barkami, rozglądałem się dopiero po izbie. Oczy moje spotkały się z oczyma Helenki....

Helenka spojrzała na mnie z lękiem, lecz w tejże samej chwili poznała mnie.

Z piersi jej uleciał głośny wykrzyk, oczy rozplonęły żywiej, ręce wyciągnęły się ku mnie.... Porwała się z krzesła i nagłym, jakby bezwiednym ruchem posunęła się naprzód, ale zaraz zachwiała się i znowu na krzesło upadła....

— Józef! — zawołała padając bezwładnie.

— Tak, to ja, ja! Józef, Helenko moja! — odpowiedziałem.

Chciałem się rzucić natychmiast ku niej, ale poczułem za sobą silne naciśnienie drzwi. To goście weselni przerażeni łomotem wysadzonego okna i impetem mego wtargnięcia usiłowali dostać się do pokoju. Natychmiast przyparłem drzwi jeszcze silniej i na żelazny haczek, który wisiał przy nich, zamknąłem.

Uczyniwszy to chciałem pobiedz do Helenki, która zemdląca była z nagłego i gwałtownego wzruszenia. W tem nagle ujrzałem przed sobą młodego Szalborskiego, który z dorwaną gdzieś z podściana szpadą stanął między mną i Helenką i godząc we mnie ostrzem, wołał z całej piersi:

— Na pomoc! Hajże! do mnie panowie!

Czułem, że mi grozi wielkie niebezpieczeństwo i że powtórnie przyjdzie mi może uleść przemocy i pozostawić Helenkę na łup łotrom....

Ale myśl ta zamiast mnie przerażać, wzbudziła we mnie tylko szaloną odwagę.

Rezygnowałem się chętnie na śmierć, byle nieść ratunek Helence i własnemu uczuciu zemsty pofolgować....

— Opryszku! — zawołał młody Szalborski nacierając na mnie impetycznie szpadą — Czego tu chcesz?... Uchodź zaraz, albo cię jak psa zakłuję!

— Obaczmy! — zawołałem z wściekłością — Mości Szalborski, łotrzyku nikczemny!

— Ratuj się! — woła on dalej, godząc we mnie szpadą — uciekłeś z pod straży, z więzienia! Jesteś zgubiony, bo albo poleżesz z mojej ręki, albo cię towarzysze moi wydadzą pod kryminą!

— A nie sycz gadzino! — krzyknę ja na to i całą forszą wypadnę ku niemu moją szablą.

— Do mnie! Na pomoc! — zawołał pan młody.

I z ciężką tylko biedą podtrzymał uderzenie mej szabli. Słyszę jak drzwi, wypierane przez kilkanaście rąk razem, zaczynają pękać i z trzaskiem się poddawać....

Lada chwilka mogą wpaść do izby towarzysze weselni, a wtedy uleżby mi musiał przemocy!

Rzucę się tedy z całą wściekłością moją na młodego Szalborskiego:

— Wołajże, wołaj wisielcze! Niechaj wejda ale już ci wtedy felczer nie pomoże! — wołam rozżarcie.

Szalborski broni się, jak może, ale daremnie. Byłem rębaczem nie lada a namiętność zmieniała mnie w olbrzyma.

Nacieram na niego z furją okrutną, razy lecą jak pioruny na jego rożenek, on zaś, choć jak widać graczą na szpady, nie dotrzymuje żelazu, umyka, chwieje się....

— A tuś mi infamisie obrzydły! — wołam, przyciskając go do muru.

W tej chwili płątnę go tak silnie po ramieniu, że krew go oblała i szpada na ziemię się potoczyła....

Szalborski krzyknął z bólu i wściekłości.

— Morderca! — wołał — Pomocy!

Drzwi od drugiego pokoju były blizkie wyłamania.

Towarzysze młodego Szalborskiego przypuścili szturm do nich walny. Na szczęście moje były to drzwi dębowe i mocno osadzone....

Nie na długo to jednak mogło pomódz, bo już się całkiem poddawać zaczęły.... Jedna chwila tylko — a sukurs mógł nadejść Szalborskiemu.

Przyłożyłem ostrze mej szabli do piersi pana młodego i zawołałem:

— Milcz, źmijo, bo cię na wylot przesyję!

I kto wie, czy byłbym niedotrzymał słowa, gdyby nie odezwał się we mnie wstręt do zabójstwa, mającego się spełnić na bezbronny już człowieku.

Rzuciłem na bok szablę i przypadłem już tylko z gołemi dłońmi do swego przeciwnika. Zerwałem mu najpierw bukiet weselny z piersi, potem uchwyciwszy go silnie, powaliłem go na ziemi....

Z głuchym stukiem obalił się Szalborski, a ja wtedy stanąłem mu stopą na piersiach i wydobywając pistolet, odciągnąłem kurek.

Potem zwróciłem się ku drzwiom i zawołałem głośno:
— Moi panowie! Proszę o chwilę spokoju! Chodzi tu o życie człowieka, waszego towarzysza!

Na te słowa głośno i energicznie wyrzeczone przestano w drugim pokoju wyłamywać drzwi na chwilę.

Wtedy wołałem dalej:

— Nie znam was, kto jesteście, i trzymam was za ludzi honoru, choć jesteście družbą łotra! Nie jestem opryskiem, ale przychodzę tu właśnie dla tego, aby wyrwać zdobycz opryszkom. Słyszycie!

Potwierdzono mi to milczeniem.

— Otóż mam u nóg mych pana Szalborskiego — ciągnąłem dalej — jak wam to sam potwierdzi.

Tu spojrziałem na młodego Szalborskiego i zapytałem go groźnie:

— Czy tak?

Szalborski, który widział się już zupełnie pokonanym, a z twarzy mej i straszliwej determinacji przekonywał się, że się poważę na wszystko, jęknął ze zgrzytem wściekłej niemocy:

— Tak!

— I trzymam mu stopę na gardle, jak gadzinie.... Mości Szalborski, czy tak?

— Tak! — potwierdził pieniać się powalony.

— Słyszycie panowie? Otóż zważcie: przysięgam wam na mój honor szlachecki, że jeżeli natychmiast nie odstąpicie od drzwi i nie zostawicie mnie w spokoju, strzelę mu w łeb bez pardonu!

Nie odpowiedziano mi nic na te słowa. Słyszałem za drzwiami tylko cichy szept, jakby naradzanie się. Potem nagle drzwi zaczęły trzeszczeć na nowo, a wśród łomotu usłyszałem także, jak niektórzy rzucili się do okien, aby inną stroną przyjść w pomoc Szalborskiemu.

Byłem zdecydowany na wszystko.

— Boże, wzywam cię na świadka — zawołałem — jako zmuszony jestem dopuścić się tego zabójstwa!

I przychylając lufę pistoletu do czoła Szalborskiemu, rzekłem mu tonem stanowczym i zrezygnowanym:

— Gotuj się na śmierć!

Żal się śnać zrobiło gagatkowi życia.

— Litości, człowieku! — zawołał — ja sam ich uspokoję!

— Panowie! Ja sam was proszę, ustąpcie. Ratunek wasz zgubi mnie! Ten człowiek mnie zabije!

— Jego i pierwszego z was, który głowę tu do mnie wychyli. A reszta w rękę Boga! — dodałem stanowczo.

Mając tym sposobem zabezpieczoną bodaj chwilę czasu, gdyż towarzystwo znajdujące się w drugim pokoju, straciwszy śnać w skutek proźby Szalborskiego zupełnie kontenans, niedawało znaku życia, odtroczyłem mocny sznur od burki i rzemień od szabli i rzekłem do mego jeńca:

— Przebacz mój ty panie młody, że się do reszty zape-

wnić muszę przed tobą. Ale kto tak jak ja ma do czynienia z całą zgrają, musi być ostrożnym!

I niezważając na opór młodego Szalborskiego skrępowalem mu silnie ręce i nogi.

Zgrzytał zębami z wściekłości i pieniał się — ale nic to niepomogło. Skrępowanego odsunąłem w kąt i nieodmówiłem sobie tej mściwej satysfakcji, aby mu rzec:

— Otóż tobie gody weselne, paniczu!

Dopiero teraz odetchnąwszy wolniej przypadłem do mojej Helenki.

Nie była ona świadkiem całej tej awanturycznej sceny. Kiedy tylko ujrzała, jak się moja szabla skrzyżowała z szpadą Szalborskiego, zemdlała ze zgrozy i przerażenia... Panna Kokorzyńska zamiast ją ratować, skryła się w najdalszy kąt izby, i na pół nieżywa od czasu do czasu tylko wydawała jaki śmiertelnego przestachu.

Kiedy zbliżyłem się do Helenki, zastałem ją bez duszy, bladą jak marmur, zastygłą od lęku okropnego i głębokich wzruszeń... Uchwyciłem ją za dłonie, były zimne i jakby martwe, spoglądałem w twarz, oczy były przymknięte....

— Heleno moja! Najdroższa Heleno! — zawołałem ujmując jej dłonie.

Nie otrzymałem odpowiedzi, pierś Helenki nie poruszała się najlżejszem nawet tchnieniem.

— Panno Jagnieszko! Na miłość Boga — zawołałem w rozpacz — toż ratuj ją pani.... Wszakże widzisz że ginie!

I pobiegłszy do panny Kokorzyńskiej, która patrzyła na mnie wzrokiem zastraszonego i osłupiałego, jakby na upiora, chwyciłem ją za ręce i przyciągnąłem siłą do Helenki.

— Litości! litości! — wołała panna Jagnieszka, która widocznie postradała zdrowe zmysły z przestachu i nawet mnie niepoznała.

Puściłem ją i zrozpaczony rzuciłem się do nóg Heleny, tuląc dłonie jej w moich i okrywając je gorącymi pocałunkami.

— Heleno! Ozwij się, na Boga! — wołałem — Helenko moja, to ja, Józef!

Śnać głos mój, wydobywający się z głębi zrozpaczonego serca, i te pocałunki, któremi chciałem własną duszę, własne moje życie przelać w zemdlałą — podziałały skutecznie, bo ku niezmiernej mej radości, zdawało mi się, że widzę, jak pierś jej poczyna się wznosić lekkim, dojrzanym zaledwie oddechem.

— Masz tobie także gody, złoczyńco! — zasyczał z podłogi Szalborski — zabiłeś ją!

— Tyś ją zabił, łotrze! — zawołałem, posełając mu spojrzenie pełne oburzenia i nienawiści.

— Ja kocham ją bardziej niż ty oprysku — odpowiedział stłumionym głosem mój jeńca — I ona mnie!... Dobrowolnie rękę mi swą oddać chciała!

Słowa te raziły mnie okropnie. Całe piekło rozszalało się w mojej duszy. Porywając dłonie Helenki gwałtownie, zawołałem strasznym głosem:

— Helenko! Czy ty słyszysz? Obudź się choć na chwilę, ożyj choćby na to, aby powiedzieć temu łotrowi, że podle kłamie!

Przeraźliwym głosem moim i nagłem szarpnięciem obudzona Helenka otworzyła oczy. Spojrzała na pół zgasłym okiem na mnie. Zadrzała, zachwiała się znowu i z jękiem zawołała:

— Józef!

— Tak to ja, Józef twój, Helenko — wołałem jak szalony — poznajesz mnie, najdroższa!

— Nieszczęśliwy — szepnęła słabym a pełnym trwogi i boleści głosem Helenka — ratuj się!...

— Helenko, ja tobie ratunek niosę! — mówiłem — uspokój się, przyjdź do siebie! Jesteś moją znowu!

— Ja ci przebaczam... panie Józefie... — szepnęła — uchodź, ratuj się!

Oslupiałem.

— Ależ na miłość Chrystusa, Helenko! — zawołałem po małej chwili — cóż mi masz przebaczyć...

— Wiem o wszystkim... Zdradziłeś mnie, pojąłeś inną... Czegoż żadasz odemnie? Splamiłeś dłoń twoją zbrodnią, uciekasz wprost z więzienia zapewne... Będą cię ścigać, schwycają cię... O ratuj się Józefie, to jedyna ma prośba!...

— Heleno! — zawołałem wtedy — to wszystko fałsz, kłamstwo ohydne! Oszukano cię zdradziecko! Patrz, przysięgam ci na Boga, na pamięć mego ojca, jam ten sam Józef twój, niesplamiony ani zdradą, ani zbrodnią żadną! Uspokój się, dowiesz się o wszystkim!

Zwróciłem się do młodego Szalborskiego i krzyknąłem z wściekłością:

— Infamisie, odszczekaj mi natychmiast to wszystko! Powiedz, żeś skłamał, powiedz natychmiast, wyznaj!

I rzuciłem się ku niemu, tracąc prawie przytomność od srogiego gniewu.

Szalborski zwinął się jak wąż na ziemi, ale uprzedzając moją furę, rzekł w rozpacz:

— Skłamałem, wyznaję.

— Słyszysz Helenko! — zawołałem — to wszystko potwarz! O uchodź ze mną, wszak widzisz, ja życie moje rzucałem na hazard dla ciebie!

Oczy Helenki błysnęły żywiej, nachyliła się ku mnie z słabym okrzykiem radości. Ująłem ją ramieniem i tuliłem do bijącej mej piersi.

— Boże! to sen był straszny! — zawołała Helenka — Józefie, uchodźmy!

Niedałem sobie tego powtórzyć. Czas był najwyższy, aby wydostać się na ulicę z drogą zdobyczą.

Ale jakże to uczynić? Czy opuszczę dom bezpiecznie

z Helenką, czy nie czeka mnie zasadzka, czy nie knują co towarzysze młodego Szalborskiego?

Nadśluchiwałem chwilę. W drugim pokoju było cicho. Był to znak widoczny, że wynieśli się milczkiem na podwórze i ztamtąd zapewne chcieli mnie otoczyć i dostać. Lecz na cóż się zdały rozmyślenia? Jak zacząłem, trzeba było skończyć. Czując pierś Helenki, bijącą u mej piersi, nabrałem niczem nie ustraszzonego, szalonego męstwa... Srogi mnie tylko kłopot ogarnął, co począć z taką zawadą, jak panna Jagnieszka, która jednak na szczęście przyszła już była nieco do siebie.

— Panno Jagnieszko — zawołałem wtedy — jeżeli niechcesz zostać sama w tej zbójckiej jaskini, to bądź waćpanna odważną. Trzymaj się mnie i Helenki!

Machinalnie usłuchała panna Kokorzyńska i drżąc jak listek chwyciła się mej poły. Ja zaś ująłem silnie jednym ramieniem Helenkę, w drugą rękę chwyciłem pistolet i trzymając go w pogotowiu, posunąłem się śmiało ku oknu.

— Hola! stój braciszku! — usłyszałem nagle wykrzyk.

Spojrzałem w okno. Stało przed nim kilka ciemnych postaci. Byli to towarzysze młodego Szalborskiego, którzy jak w pierwszym zamieszaniu potracili byli głowy, tak później wpadli na pomysł wysunąć się milczkiem z dworku i zrobić na mnie zasadzkę u okna.

Widok ich nie strwożył mnie.

— Dobrze! Hola panowie! Jest was kilku na jednego! — zawołałem śmiało — ale ten jeden za nic sobie śmierć waży, jeżeli tego potrzeba! Padnę ja, ale dwóch z was niech się na śmierć także rezygnuje!

I wymierzyłem do nich pistolet.

— Na bok! bo palnę!

Zawoławszy tak, śmiało rzuciłem się ku oknu, trzymając Helenkę silnie lewym ramieniem.

Nie tędzy byli śmiałkowie, umknęli w tył nieco, i przystanęli o kilka kroków. Nie bałem się już tych, których miałem na oku, ale nie byłem pewny, czyli u muru pod oknem nie czatują inni ukryci.

Postanowiłem tedy wypaść najpierw sam na podwórze a Helenkę i pannę Jagnieszkę zostawić w pokoju. Chciałem tym sposobem odbyć rekonesans i utorować sobie drogę, abym był pewniejszy, gdy mi przyjdzie przeprowadzić się z obiema kobietami.

— Helenko! — szepnąłem — zostań na chwilę! Nie trwóż się, nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo!

Helenka, która drżała w mych ramionach jak zalekniona ptaszyna, odrzekła cicho:

— Drzę o ciebie Józefie!

— Nie dam się, bądź spokojną! Ale ty nabierz odwagi i siły, abyś natychmiast na dany znak przechyliła się do mnie przez okno!

— Dobrze — szepnęła Helenka silniejszym głosem...

Kazałem teraz odstąpić kobietom od okna, bo oba-

wiałem się, aby nie padł strzał ku mnie, i z pistoletami w obu dłoniach wyskoczyłem z okna. Rzuciłem się umyślnie z wielkim zamachem i pędem, aby w dużym skoku minąć tych, co mogli być ukryci pod murem i tym sposobem uniknąć napadu z boku.

Widząc mnie szalenie rzucającego się naprzód, ci, co byli przedemną, cofnęli się co prędzej... Nie mieli też żadnej broni palnej przy sobie, bo nie dano do mnie ognia.

Obawy moje nie były płonne, po obu stronach okna przyczajeni pod murem stali dwaj z towarzyszy Szalborskiego. Obaj byli uzbrojeni w szablę, a jeden z nich był oficer jakiś. Byłem w wielkim niebezpieczeństwie, gdyż znalazłem się z dwóch stron osaczonym. Od okna odzielali mnie obaj zbrojni, w tyle czekała reszta.

Byłbym też z pewnością nie dostał się napowrót do okna i do Helenki, gdyby przeciwnicy moi lepiej się byli wzięli do mnie, a mianowicie, gdyby owi dwaj zostali byli przy oknie...

Ale na szczęście mniemali, że zamysłam sam uciekać, i ci dwaj z zasadzki zamiast mi odciąć drogę od okna, czego się najbardziej obawiałem, rzucili się za mną z szablami opuszczając swoje stanowiska.

W mgnieniu oka włożyłem jeden pistolet za pas, a ująłem szablę, gotując się na przywitanie. Gdy ci tak z impetem lecą na mnie, a ich towarzysze z hukiem z tyłu przypadają, ja jak piskorz się skręcam i jak w tańcu zawrotem sadzę znowu ku oknu, paląc z pistoletu raz na oślep.

Tym sposobem udało mi się stanąć znowu przed oknem. Oparłem się teraz o ścianę i wydobywając drugi pistolet wymierzyłem go ku moim przeciwnikom, których już teraz miałem wszystkich przed okiem.

Było ich pięciu razem.

— Nie tak źle!... — pomyślałem.

I zwracając się ku oknu zawołałem:

— Do mnie Helenko, do mnie! Śmiało przez okno!

Helenka natychmiast skoczyła przez niskie okno na podwórze do mnie, a panna Kokorzyńska z desperacji na taki zdobyła się rycerski heroizm, że bez pomocy tuż za nią stanęła na dole.

Stanąłem przed nimi zasłaniając je piersiami, a nie spuszcżając pistoletu począłem się zwolna posuwać naprzód.

— Na ustęp! — zawołałem — moi panowie, przysięgam na Boga, kto mi drogę zastąpi, temu łeb kulą roztrzaskam... a strzelę lepiej niż pierwszym razem!

I znowu postępowałem dalej, chcąc cofać się ku drugiej części podwórza. Przeciwnicy moi nie tęgiego byli animuszu i zaraz cofać się poczęli. Ale ów oficer, który był między nimi, śnać przenieść tego nie mógł na siebie, aby tak podać tył przed jednym człowiekiem, naklął tedy po węgiersku, i zawołał:

— Za mną panowie! Niech strzela, ja idę pierwszy, wy za mną!

I śmiało rzucił się ku mnie ze szpadą, a inni tuż za nim.

Nie było innej rady, jak tylko dać ognia. Wymierzyłem do nóg oficera, chciałem go zranić tylko i obalić. Byłbym pewnie nie chybił, bo strzelcem byłem dobrym, ale w tej chwili Helenka w przystępie trwogi uchwyciła mnie właśnie za prawe ramię.

Strzał padł, ale nie ugodził nikogo.

Nuż tedy, nabrawszy odwagi, wszyscy kupą na mnie!

Pozostała mi do obrony szablę tylko. Opór stawić mogłem przeciwnikom moim nawet bardzo długo i o to się wcale nie troszczyłem. Ale tu nie chodziło o samą obronę, trzeba się było wydostać przebojem i to z dwiema śmiertelnie załężnionemi kobietami.

Zwątpienie mnie ogarnęło. Postanowiłem przecie bądź co bądź tentować powtórnie wstępną walkę, a w ostatnim razie nawet dać się zabić...

Moi przeciwnicy, z których trzech uzbroiło się w dorwane zkądś na przedce koły i pałki, rzucili się na mnie hurmą. Już zagwizdały koły w powietrzu tuż przed moją szablą, gdy oto nagle daje się słyszeć okropny łomot przy parkanie, jak gdyby go kto taranem chciał pogruchotać, a potem rozlega się straszliwy krzyk:

— Trzymaj się Józefie! Nie daj się! Idziemy w sukurs! Hurra chłopcy, za mną! Posiekać tych łotrów!

I nagle błysnęło nad parkanem, i dwa strzały, jeden po drugim rozległy się.

Zdumiałem się niesłychanie, co to za pomoc, bo chyba z nieba spaść mogła... Na szturmujących na mnie przeciwników zrobiło to jeszcze większe wrażenie. Ten nagły łomot, ten okrutny głos i te dwa strzały przeraziły ich niesłychanie.

Niedostali ani chwili. W jednym mgnieniu oka rozbiegli się na wszystkie strony, umykając co im nóg i tchu stało, jakby już istotnie każdemu z nich stał nad karkiem okropny nieprzyjaciel...

Nie miałem czasu myśleć nad tem, coby to za cudowny był sukurs, i nie czekałem też na zagadkową odsiecz, ale chwytając co prędzej Helenkę pod ramię i wołając na pannę Jagnieszkę, aby spieszyła za nami, pobiegłem chyżo ku tylnemu podwórzcu.

Zastałem tu dwa powozy próżne, te same, które przywiozły młodego Szalborskiego i jego towarzyszy. Woźniców nie było przy nich, bo na huk strzałów i na wrzawę, wybiegli za dom, aby zobaczyć co się dzieje i nieść pomoc swym panom.

Wsadziłem co prędzej Helenkę i pannę Kokorzyńską do jednego z powozów i roztworzyłem bramę, która na żelazną zasuwę była zamknięta.

Uczyniwszy to prawie w jednym mgnieniu oka, skoczyłem na kozioł i zacinając konie wyjechałem na ulicę.

Konie popędziły jak katy, a ja nawoływałem je ciągle do szybszego jeszcze biegu.

Oglądałem się po za siebie, nikt mnie nie gonił, ale też nie widziałem owej tajemniczej odsieczy, która mnie tak niespodzianie poparła. Noc rozjaśniła się, niebo wyiskrzyło się gwiazdami. Ujechałem dobry kawałek, gdy nagle widzę przed sobą umykającą jakąś postać. Postać ta, owinięta w płaszcz, pędziła z ogromną szybkością wzdłuż ulicy, jakby uciekała przed najeżdżającym powozem.

Popędziłem koni, wyteżyłem wzrok za uciekającym. Nie minęła chwilka a dogoniłem go. Spojrzałem na ciemną postać bystro, i jakież było moje zdziwienie, gdy poznałem w niej po figurze i po czapce Dyzmę.

— Dyzma! Dyzma! — zawołałem wstrzymując konie — nie uciekaj, to ja!

Był to istotnie Dyzma. Zrazu nie poznał mego głosu i już chciał dać susa między boczne domostwa, ale poznawszy mnie wręście przystanął i twarz swą płaszczem owiniętą odkrył.

— Siadaj Dyzma! — zawołałem.

Dyzma przekonawszy się, że nie ma niebezpieczeństwa, wspiął się na koziół.

— Co się z tobą działo? Myślałem, że wróciłeś dawno do domu.

— Albowm ja tchórz! — zawołał Dyzma z junacka — toć nie mogłem cię opuścić w przygodzie!

Mimowolnie zaśmiałem się głośno — taki smieszny był Dyzma w swej rycerskiej pozyturze.

— A co, nie tego się spisałem? — zapytał Dyzma ocierając pot z czoła.

— A nie ma co mówić, że gracko uciekałeś! — rozśmiałem się — toż ledwo cię końmi dopędziłem.

— Człowiecze — rzekł Dyzma z miną obrażonego — a któż ci to odsiecz przyniósł?

— Jakto? to ty byłeś?..

— A jużciż ja, a nie kto inny.

Wypatrzyłem się na niego ciekawie.

— Kiedy podsunąłeś się pod parkan — zaczął opowiadać Dyzma, ja chciałem umykać co prędzej do domu. Zdjęła mnie jednak ciekawość a zarazem obawa o ciebie, i namyśliłem się inaczej. Obrałem sobie miejsce bezpieczne w rowie i czekałem.

— Mężny Dyzma! — zawołałem nie mogąc się wstrzymać od śmiechu.

— Usłyszawszy naraz okropną wrzawę i dwa strzały — ciągnął dalej Dyzma — przestraszyłem się okropnie, ale zdobywając się na odwagę i dodając sobie ducha odwoływaniem się do obowiązków przyjacielskich, posunąłem się po cichu pod parkan i przez szparę zajrzałem, aby obaczyć, co się dzieje. Ujrzałem ciebie przy oknie, gotującego się bronić całej kupie, która na ciebie srodze nacierała...

— I nie uciekłeś.

— Ot dałbyś pokój żartom. Mówiłeś zawsze, że i ja zdobyć się potrafię na odwagę. Zresztą tak mi się naprawdę zrobił żal serdeczny ciebie, że postanowiłem azardować się i nie pytać o nic. Nie uważałeś tego zapewne, że idąc z tobą, wziąłem z sobą parę pistoletów, od wieku nabitych, które widzieć musiałeś u mego ojca nad łóżkiem. Począłem więc z całej siły nogami i pięściami bić w parkan i zmieniawszy sobie głos, wołać straszliwym tonem: Trzymaj się, idziemy w pomoc!
— Słyszałem, słyszałem! Ale któż się to mógł spodziewać, że ten głos z ciebie wychodzi? Myślałem, że tam cała rota stentorów za parkanem.

— Bo też wołałem bardzo odważnie, a jak widzisz, ochryplem nawet z tego całkowicie. Ten pierwszy krok tak mnie podochocił, że wystawiwszy ręce po nad parkan dałem ognia, a dopiero potem uciekać zacząłem.

— Niechże cię uściskam, mój drogi, serdeczny Dyzmo — zawołałem — wyrządziłeś mi ogromną przysługę, bo twoje krzyki i strzały tak okropnie przeraziły moich przeciwników, że uciekali bez upamiętania.

Dyzma nie posiadał się z radośnego poczucia swego bohaterского czynu. Ja zaś uśmiewając się w duchu z rozwiązania owej zagadki sukursu — oddałem mu lejce na chwilę i zwróciłem się ku Helence. Najdroższa moja przyszła już była teraz zupełnie do siebie. Posypały się z obu stron zapytania, odpowiedzie, wykrzyki... Panna Jagnieszka tylko siedziała jeszcze milcząca i nieruchoma, śnać niemożna się opamiętać po przebytej trwodze...

W tej krótkiej chwilce rozmowy z Helenką dowiedziałem się całej historii jej porwania, i dalszych jej kolei. Zmuszano ją gwałtem do poślubienia młodego Szalborzkiego, działając na nią groźbą. Następnie zmyślono przed nią najokropniejsze wieści o mnie.

Zapewniano ją, że podczas gdy ona czuwała u łóżka umierającego dziadka, ja prowadziłem najbezpieczniejsze życie we Lwowie, że ożeniłem się z jakąś awanturnicą, i że potem dopuściłem się okropnych zbrodni, za co mnie uwięziono. To wszystko usiłowano stwierdzić jakiemiś pofałszowanymi papierami, a aby przełamać do reszty opór Helenki, stary Szalborzki obiecywał jej, że dołoży wszelkich starań, aby mnie obronić i uwolnić, jeżeli odda rękę jego synowi....

Z krótkich szczegółów opowiadania Helenki mogłem pojąć, co za okropne przebyła położenie.... Zrozpaczona, zboląła, na duszy i ciele złamana, dała się ubrać do ślubu — ale zapewniała mnie, że miała zamiar przed ołtarzem wyjawić, że jest ofiarą gwałtu, i tym sposobem odzyskać wolność....

Słuchałem tych szczegółów z największym oburzeniem, i z mojej strony opowiedziałem w kilku słowach całą haniebną intrygę Szalborzkiego. Nie wspominałem jej jednak

naumyślnie o jenerale saskim, panu Suchorzewskim, ciesząc się już z góry zdziwieniem Heleny, gdy ujrzy znanego sobie żółtego generała i o całym tym osobliwym zbiegu okoliczności się dowie.

Kiedy tak gorączkową rozmowę prowadziliśmy z Helenką — zatrzymał nagle Dyzma konie i rzekł do mnie: — Wjeżdżamy w miasto, muszę cię tu opuścić. Nie mogę się dalej narażać...

Nie chciałem zatrzymywać dłużej Dyzmy, który i tak tego wieczora przebył niesłychane, jak dla niego, awantury, więc wziąłem od niego lejce i uściśnałem mu raz jeszcze serdecznie dłoń na podziękowanie.

Dyzma zeskoczył z kozła i otulając się w swój płaszcz szeroki zniknął w ulicach miasta. Ja tymczasem popędziłem koni i wyteżonym kłusem pojechałem dalej...

VII.

Niepotrzebuję prawie mówić, że zdążyłem wprost do starego pałacu na żółkiewskim przedmieściu, do kwatery — żółtego generała.

Zdaleka ujrzałem już, że pierwsze piętro starego domostwa było rzęsiście oświetlone. Bramę zastałem otwartą, przy ganku wisiało kilka latarni. Widocznie żółty generał przygotował się na przyjęcie swych ślubnych gości.

Wjechałem z pędem i trzaskiem na podwórze i osadziwszy konie przed słupami, zeskoczyłem z kozła i wysadziłem z powozu Helenkę i pannę Jagnieszkę.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała Helenka, patrząc na dziwne, stare domostwo.

— Zgadnij Helenko, u kogo jesteśmy? — zapytałem z uśmiechem. Zdziwisz się ogromnie, gdy tu ujrzysz kogoś...

— Kogoż tu ujrzeć mogę?... Ciebie mam przy boku, ksiądz Ignacy w Basztokolu, a dziadek w grobie.... Kogoż jeszcze mam tak znajomego?...

— Krótką masz pamięć, Helenko — rzekłem — jest przecież ktoś jeszcze, kogo znasz doskonale...

Helenka wzruszyła ramionami.

— Towarzysz naszych lat dziecińczych, świadek naszej miłości i szczęśliwych dni basztokolskich...

— Żółty generał!... — zawołała Helenka. — Ale cóż to ma znaczyć!... Zkądby stary obraz mógł się dostać do Lwowa, do tego domu?...

* — Obraz został w Basztokolu — ale tu jest żywy oryginał!

Helenka wypatrzyła się na mnie z zdziwieniem, jakby pojąć nie mogła, że w takiej chwili, świeżo po przebyciu gwałtownych przygód, jeszcze żartować mogę.

— A przecież to prawda! — rzekłem — Tak jest Helenko, ujrzyś za chwilę żółtego generała, prawdziwego, żywego żółtego generała! Upprzedzam cię, abyś się nie przyłąkla, jak ongi małem dzieckiem w baszcie u dziadka.

I biorąc ją pod ramię wszedłem na korytarz.

Dwóch lokajów we frakach zjawilo się zaraz przed nami ze świecami. Były to dwa zaschłe, stare Niemczyska, podobne z figury do swego pana.

Z ukłonem, pełnym poszanowania wskazali lokaje na schody wiodące na pierwsze piętro i powiedli nas z światłem na górę.

Znaleźliśmy się na długim korytarzu. Jeden z lokajów wskazał nam drzwi. Popatrzyłem, czy bukiet weselny, który zerwałem młodemu Szalborskiemu i sobie do kubraka przypiąłem, jest jeszcze u mej piersi, i otwarłszy drzwi z trzaskiem, wpadłem szybko z Heleną do środka...

Helenka spojrzała przed siebie, zatrzymała się na chwilę, i jak to przewidywałem, aż krzyknęła z zdziwienia.

Równocześnie usłyszałem drugi stłumiony okrzyk przerażenia.

Wszedłszy śmiało na środek pokoju, rozglądałem się do koła. Był to salon duży, tym samym staroświeckim sposobem i w tym samym dziwacznym, fantastycznym smaku umeblowany, co dwie poprzednio poznane już przezemnie komnaty starego domu.

Sala była jasno oświetlona, a znajdowało się w niej kilka osób.

Nasamprzód uderzała wysoka, chuda i sztywna postać żółtego generała. Powstał on z krzesła, gdyśmy weszli do sali. Ubrany był tak, jak go znałem z portretu i jak go widziałem owej nocy. Miał na sobie ten sam żółty mundur z złotymi haftami, te same ordery i tę samą szpadę białą oprawną przy boku.

Tuż za nim stał stary Szalborski, i on to był, co powitał nas wchodzących wykrzykiem przerażenia. Po drugiej stronie stał siwy, opasły i niski oficer w niemieckim uniformie; był to widocznie adjutant pana generała, lejtnant Krenwitz. Obok niego stały dwie inne jakieś figury zapewne do służby należące.

Scena niema, która się odgrywała po naszym przybyciu, była godna pędzla malarza.

Żółty generał spojrział najpierw z upodobaniem na Helenkę, która mimo przebytej trwogi prześlicznie wyglądała w białym stroju panny młodej, i twarz jego rozjaśniła się łaskawym, dobrotliwym uśmiechem.

Potem zwrócił oczy na mnie, a na czoło jego wystąpił mars i wyraz zdziwienia.

Wyglądałem też nie bardzo gładko i wcale nie miałem strojnej postaci pana młodego. Prócz bukietu, wydartego młodemu Szalborskiemu, nic nie mogło wskazywać, że na gody weselne przybywam. Strój mój obozowy nie był w najlepszym porządku. Burka z junacka spływała mi z ramienia, kubrak w kilku miejscach był nadszarpany, u pasa wisiał porwany bandolet od szabli, a duże sztylpy były całkowicie błotem okryte.

Zauważałem spojrzenie pana generała, ale nie tracąc

wcale kontenensu, posunąłem się z rezonem dalej i z głę-
bokiemi poszanowaniem się skłoniłem.

Podnosząc głowę do góry spotkałem się ze wzrokiem
Szalborskiego.

Stał błądy jak trup, z oczyma wysadzonemi na wierzch
od zdziwienia, z twarzą zmienioną od przestachu, z włos-
sem najeżonym, cały drżący i jakby porażony...

Rzuciłem mu spojrzenie tryumfujące, a kłaniając się
powtórnie generałowi, rzekłem:

— Mości generale! Przybywam nieznanym i niespodzie-
wanym, a przedstawiam się w sposób, który słusznie zadzi-

dołało mi się jednak to zastępstwo, i zamiast owego ga-
gatka staje przed JW. panem generałem Józef Marski.

I ukloniłem się znowu z uszanowaniem.

Generał nic a nic nie rozumiał z całej tej sceny.

— Co to ma znaczyć!... Nie pojmuję aspana?... — wtrącił
gniewnie.

— Nie pozostaje mi nic innego, jak prosić pana Szal-
borskiego, aby wytłumaczył JW. p. cały stan rzeczy — od-
powiedziałem.

Generał się obrócił i szukając oczyma Szalborskiego,
zapytał:



...i otwarłszy drzwi z trzaskiem, wszedłem szybko z Heleną do środka. (str. 400.)

wić a nawet gniewać może JW. pana generała. Przepra-
szam tedy najunieżniej, bo nie dla braku respektu to się
stało, ale ze zbiegu przygód moich.

Jenerał patrzył na mnie ciągle z zdziwieniem.

— Gdybym był korzystał z dobroci pana mecenasa Szal-
borskiego — ciągnąłem dalej — który był tak łaskaw, że
sprokurował mi zastępcę u ramienia panny Heleny Ole-
szanki, pokrewnej JW. pana generała, byłby stanął tu mło-
dzieniec z pod igły, stołeczny elegant jak cacko. Nie po-

— Szalborski, co to jest?

Ale Szalborskiego już nie było...

Podczas gdy ja mówiłem do generała i nie odwraca-
łem od niego oczu, Szalborski milczkiem i chyłkiem po
za plecyma obecnych wysunął się i umknął...

— Gdzie Szalborski? — zawołał generał.

— Uciekł podlec! — zawołałem. — Generale wysłuchaj
mnie, odkryję ci nikczemną intrygę, której i ty jesteś
ofiara...

— Nieznam Waści i nierozumiem ani słowa.... Hej! panie Krenwitz, pobiedz za Szalborskim, dogonić go i przystawić tu natychmiast!

Polecenie zostało natychmiast wykonane, a ja rzekłem śmiało:

— Dobrze JW. p. generale! Niechaj stanie tu ten szalbierz ku upokorzeniu i sromocie swojej. Wymaga tego sprawiedliwość, aby on, co uknuł tak haniebną zradę, świadkiem był mego opowiadania i ukarany był widokiem, jak podstęp jego przeciw niemu samemu się zwraca....

Niemieństwo kilka minut, a Szalborskiego przywlekleła gwałtem służba generała.

Wyglądał jak zbrodzień schwyty na gorącym uczynku. Drzał na ciele całym, a pot kroplisty oblewał mu skronie.

— Czy znasz tego człowieka? — zapytał żółty generał szorstko i groźnie....

Szalborski pobałdł jeszcze bardziej i zaczął się jękać....

— Nie.... to jest.... znam.... ale chciej mi wierzyć JW. p. generale.... Tylko najlepsze chęci dla tej sprawy....

— Coś mi Wasze djabelnie bałamucisz, wyraźnie jakby sumienie płatało język!..

I zwracając się do mnie rzekł rozkazująco:

— Opowiadaj Aspan.

— JW. p. generale — wtrącił Szalborski — proszę uniesienie wysłuchać mnie oddaliwszy tego człowieka.... Jest to....

— Milczeć! — zawołał generał uderzając nogą o podłogę. — Jemu mówić kazałem.

Szalborski skręcił się jak wąż. Spojrzał ku drzwiom, ale były obsadzone przez p. lejtnanta Krenwitza i przez służbę. Spuścił oczy ku ziemi i stał jak zbrodzień pod pręgierzem.

Zacząłem opowiadać. Począwszy od mego pierwszego wyjazdu ze Lwowa, opowiedziałem jenerałowi wszystko dokładnie.

Żółty generał, który był usiadł, słuchał z wielkiem zajęciem, a gdy opowiadałem o jego konterfekcie w Basztokolu, o szczególnym przypadku, który mnie do jego domu na nocleg sprowadził, o widziadle nocnym przed zwierciadłem, o podsłuchanej rozmowie, która mi do wykrycia intrygi posłużyła i t. d., porwał się aż z krzesła z zdziwienia wielkiego i zawołał:

— A to szczególna? A to mi zrządzenie!

I zwracając się do pana Krenwitza dodał:

— *Verstehen Sie Herr Lieutenant?*

— *Curios, curios, Herr General!* powtarzał tłusty, siwy Niemiec, który się tyle przy swym generale nauczył po polsku, że mnie trochę rozumiał — i kiwał głową bezustannie.

Gdy skończyłem rzekł do mnie generał łaskawie:

— Podobasz mi się Waśc.... Ale czy to prawda?

— Co do joty, na moją cześć szlachecką, JW. panie generale!

Zesz. XIII.

Żółty generał zwrócił się do Helenki, przystąpił do niej i zapytał:

— Czy prawdę mówi?...

— Prawdę, p. generale — rzekła Helenka.

— Nawet i to prawda, co mówi o wzajemnym afekcie aspany? — zapytał generał uśmiechając się żartobliwie i gładząc twarzyczkę Helenki.

— Prawda.... — szepnęła Helenka i rumieniec wstydu oblał jej nadobne a blade dotąd liczka.

Generał przystąpił teraz do Szalborskiego:

— I cóż ty na to infamisie! — zawołał groźnie.

Szalborski był blizki zemdlenia. Drzał od trwogi i daremnie usiłował wydobyć z siebie słowo odpowiedzi....

— Panie Krenwitz — zawołał generał — wzięć mi tego łotra pod areszt na noc, a jutro odstawimy go gdzie należy....

I zrobił dłonią ruch rozkazujący....

Dwa żyłaste Niemczyska uchwyciły w tej chwili Szalborskiego i wyprowadziły go z sali.

— A teraz witajcie mi państwo młodzi — rzekł do nas z uprzejmym uśmiechem żółty generał. — Pójdź tu Helenko, moje dziecko, podobnaś do matki swej, a siostry mojej.... Taka piękna jesteś, jak ona była w młodości.... Dawne to dzieje, dawne dzieje!

I obejmując z rozrzewnieniem Helenkę w ramiona, ucałował ją z ojcowską czułością w czoło.

— Podaj mi dłoń, kawalerze — rzekł do mnie potem — zuch waćpan jesteś i zasłużyłeś na tak piękną dziewczynę....

Uchyliłem kornie czoło przed starcem i po dawnym obyczaju z respektem ucałowałem dłoń generała. On poklepał mnie łaskawie po ramieniu a potem rzekł:

— A teraz pobłogosławię wam z serca moje dzieci....

— Daruj JW. p. generale — podchwyciłem — ale po-folgować muszę sobie jedną jeszcze uwagą.... Jeżeli życie narażam za Helenkę, to dla tego, że ją kocham nad życie. Teraz, gdyś ją JW. generale uczynił panią znacznego majątku, gotów jesteś może przypuszczać, że czyniłem nieco i z chciwości.... Przyjmę błogosławieństwo twoje generale, gdy Helenka tak będzie ubogą jak przedtem....

— Jestem taką! — zawołała Helenka — Przebac panie generale, wuju mój kochany, ala zapisu twego nie przyjmuję... Mamy dość z Józefem, aby żyć skromnie i szczerliwie...

— No, no, moje dzieci, porzućcie te szkrupuły — rzekł jenerał — ufam w charakter waćpana. Nie smućcie staroego, gniewałbym się bardzo, gdybyście datkiem wzgardzili. Zda on się młodej gosposi, choćby na posag dla przyszłej córeczki.

Helenka spłonęła szkarłatem wstydu i dłonią oczki zakryła.

— A teraz rozgościcie się u mnie i odpoczniecie po tylu awanturach—oszczędzając Helenkę dodał jenerał—Hola! wie-

czera! Wypijemy za zdrowie żółtego generała! — dodał z dobrodusznym uśmiechem.

Przeszliśmy do pokoju, w którym zastawiona była suta wieczerza cukrowa, przygotowana widocznie na weselne gody. Żółty generał był w wyśmienitym humorze i palił nawet koperczaki do panny Jagnieszki, wprawiając ją tem w arcyzabawny ambaras.

Ile było opowiadań i wynurzeń przy stole, ile szczęścia i radości, i jak smaczny był w końcu sen po tylu burzliwych przyprawach, o tem zda się, niema co opowiadać.

Mamże jeszcze opowiadać dalej, tłumaczyć wszystko, i szczegółami uzupełniać?...

Wątpię bardzo, aby to komu było pożądanem, bo każdy już teraz całego składu rzeczy się domyślił.

Nie będę tedy nudził komentarzami — ale po krótkce dołożę, co dołożyć koniecznie wypada.

Owoż nasamprzód powiedzieć muszę, że Szalborskiego zaraz nad ranem kazał generał odstawić na odwach i to na ten sam, gdzie ja w srogiem udręczeniu całą dobę spędziłem.

Oddano go ztamtąd do sądu — ale, proszę sobie wystawić — wypuszczono niebawem.

Było oczywiście rzeczą, że był sprawcą oszustwa, chcąc dla swego syna, z którym jako próżniakiem i gagatkiem nie mógł sobie dać rady, sprokurować posażną żonę i tym sposobem ulżyć sobie ciężaru z karku; ale umiał się krętać tak dobrze wymigać, że mu nic zrobić nie było można.

Dowiedł rabulista czarno na białem, że wszystko robił prawnie i za zezwoleniem władzy! Jakoż tak było istotnie, bo niecnota przed porwaniem Helenki wyrobił był sobie na wieść o śmierci jej dziadka najlegalniejszy w świecie akt opiekuństwa, a od generała miał nadto formalne pełnomocnictwo.

I oto zamiast pokutować w turmie, nietylko że wyszedł

na sucho, ale wytoczył zaraz kilkanaście pozwów przeciw mnie i panu generałowi Suchorzewskiemu o kryminal, o gwałt, o pokrzywdzenie, o szkody najrozmaitsze, i tak dalej bez końca.

I gdyby nie wpływ generała, byłbym się musiał włożyć po terminach od Ananasa do Kaifasza, Bóg wie, jak długo, a nareście możebym skórą i mieszkim własną krzywdę opłacił!

U żółtego generała zabawiliśmy z Helenką dzień jeden cały, a potem pospieszyliśmy do ulubionego Basztokolu.

Żółty generał pojechał do Drezna, ale obiecał święcie przybyć na ślub i wesele, które się za miesiąc odbyć miało w Basztokolu.

Dotrzymał też słowa i przyjechał.

Gdy ksiądz Ignacy związał dłoń Helenki z moją, przeszliśmy do obszernego dworku nieboszczyka pana marszałka Oleszy.

Izba bawialna była pięknie przystrojona, a na ścianie wisiał naprzeciw miejsca honorowego konterfekt żółtego generała z baszty, który ja powtórnie jak najpiękniej odnowiłem.

Generał nie posiadał się z zdziwienia, gdy ujrział siebie samego na ścianie, ustrojonego w wieńce i kwiaty.

Tak się rozczulił stary, że aż płakał i ustawicznie nas ścisnął i całował.

Ale nie długo zabawił w Basztokolu. Pojechał znowu do Saksonji i już się do nas nigdy nie zgłaszał, choć ja i Helenka pisaliśmy do niego kilka razy.

Jak się później ze słyhu dowiedziałem, popadł znowu pod samą śmierć w ręce jakiejś pięknej Niemkini, która cały majątek po jego zgonie zabrała. Dostałem też list od pana lejtnanta Krenwitza, wraz z paczką, w której były dwa przepyszne złotem i emalją bogato wykładane pistolety. Generał darował mu całą swoją zbrojownię przed śmiercią, a poczciwy Niemiec przysłał mi z niej te pistolety na pamiątkę.

W sypialnej izbie powiesiłem je tuż pod konterfektem żółtego generała.

KURCJUSZ.

Zgiełk w mieście i rozruch, Rzym strachem przeszyty.
Czy Brennus z Gallami, zdobywszy niesyty,
Tak ścisnął lud rzymski w warownem siedlisku,
Że jęknął śmiertelnie w żelaznym uścisku?
Rzym mężny w obronie i pomny swej sławy;
Niezlomna, jak granit, pierś nie zna obawy;
Odwaga, nie trwoga, skuteczna na wroga.
Rzymianie to wiedzą, ... cóż znaczy ich trwoga!

Nie z ludźmi tu sprawa: na rynku, wśród miasta,
Otwarła się przepaść, i wzrasta i wzrasta.
Na widok okropny truchleje i mężny:
Przed wyższą potęgą Rzym zadrzał potężny.
Już forum ludowe bezdenną otchłanią...
Cóż stanie się z Romą, z królową i panią,
Co władać ma światem i słynąć rozgłośnie?!
— O Romo nieszczęsna! — lud woła żałośnie,

Już forum zniknęło, i bogom wiadomo,
Co z nami się stanie i z tobą, o Romo!

Widoczny gniew bogów: płacz niewiast się wzmaga,
I mężów żelaznych odbiega odwaga;
Orężni swe wierne rzucają orężę,
Ach! co tu pomogą orężę i mężę!
I w trwodze o siebie mieszkańcy drżą miasta,
Bo przepaść się w koło rozszerza i wzrasta.

Widoczny gniew bogów i kara zesłana;
Lecz wielka ich litość, lecz łaska ich znana:
Do bogów się zwraca lud w ciężkiej potrzebie,
I zebrze litości dla Romy i siebie.
I płyną westchnienia, modlitwy i zale,
Jak fale po modrym, po morskim krzysztale;
I płoną ofiary i tłustość się skwarzy,
I wznoszą się dymy dla niebios mocarzy:
Daremne ofiary, daremne łyzy miasta,
Rozszerza się przepaść, i wzrasta i wzrasta.

Kapłani i wieszczki w żałośnym rozruchu
Wyroczeni się radzą i bogów w podsłuchu,
Czem niebo przebłagać, przez jaką ofiarę
Odwrócić od Rzymu gniew boży i karę?
I każą Rzymianom wróżbici kapłani
Najdroższy skarb wrzucić do zgubnej otchłani.

— Gdzież okup ten drogi? poświęcić go chcemy —
Wołają Rzymianie — gdzie skarb ten znajdziemy?

A wieszczki im mówią: jeżeli go w was nie ma,
To żadna moc Romy upadku nie wstrzyma;
Bo dębu nie wesprze z granitu podpora,
Gdy soki w nim wyschną i zsunie się kora.
Gniew boży dziś Romę dotyka widomie,
Przebłaga niebiany najdroższy skarb w Romie.

Więc znoszą Rzymianie ofiary z ochotą,
Rzucają w jaskinię i srebro i złoto.
Niemiły niebianom kosztowny dar miasta,
Rozszerza się przepaść, i wzrasta i wzrasta.

W tem jeździec w błyszczącą odziany zbroicę,
Przez tłumy struchlałe przedzięra się z trudem,
I mierzy oczyma głęboką ciemnicę,
I głosem gromowym zawoła przed ludem:

„Czyż nie ma godniejszej ofiary w tem mieście
Nad złoto i srebro, ozdoby niewieście?

Co w Romie droższego nad męztwo i blizny?

Co w Romie świętszego nad miłość ojczyzny?

To mówiąc, spiął konia i skoczył w jaskinię:

Lud rzymski wykrzyknął i łzami się zalał —

I naraz zawrzało w bezdennej głębinie,

Zamknęła się przepaść i rynek ocalał.

J. Zb.

NOTATKI WĘDROWCA Z MUSU.

VII.

WSPOMNIENIA NORMANDYI. — ZAMEK SAINT-PAER.

Są miejsca nieprzepomne z dziejowego prawa.
Fr. Wężyk. — Wiersz w książce pamiętek. Xaw. God.

Ileż to razy, dumając nad jaką zgrzybiałą basztą,
albo wyszczerbionemi murami starego zamku, nadśluchi-
waliśmy ciekawie, ażali z tych poważnych zwalisk nie
przemówi głos jakiś i nie opowie nam wesołych gwarów i
łzawych wyrzekań, miłostek i nienawiści, cnót i zbrodni,
które do nich przyłgnęły! Ileż to razy nie zapragnęliśmy
poznać osoby, które w nich gościły, i wypytać o wojenne
przygody, które temi murami wstrzęsły, albo się o nie
odbiły! Jeżeli lubisz wyczytywać przeszłość z kamieni,
przejeżdż Normandyą; żadna kraina w świecie nie wypisała
pilniej i wyraźniej starych swoich dziejów w pomnikach,
jak Normandyą; a jedną z wymowniejszych kart tej po-

mnikowej historii jest bez wątpienia zamek *Saint-Paer*.
Znajdziesz na tej karcie ciekawe wspomnienia dawnych
dziejów i nie mniej zajmujące wspomnienia dziejów spół-
czesnych; znajdziesz wziętość zdobytą orężem i wziętość
nabytą piórem; znajdziesz wręcz obecność, głęboko
zakorzenioną w przeszłości, bez obawy zapomnienia w
przyszłości.

Przed dwiestu przeszło laty, nowy zamek *Saint-Paer*
stanął na miejscu dawnego; a mularze odbudowujący te
mury, odbudowali zarazem ich wspomnienia; podobnie
jak paryzcy mularze, rozszerzający pałac luxemburskiego
ogrodu w r. 1835. w myśli, że budują tylko nowy pawilon,

budowali zarazem karzące wyroki, według pięknego i proroczego wyrażenia p. Hennequin w izbie deputowanych ¹⁾

Przebiegając dzieje starego *Saint-Paer* wyczytasz, że w r. 1137. rabunek i mordy rozchodziły się z jego murów na całą okolicę; kiedy przeciwnie w r. 1836. rozchodziły się z nich dobrodziejstwa i zachęta do pracy; bo *Saint-Paer* zamieszkały był w r. 1836. przez p. d'Arlicourt, a w r. 1137. mieszkał w nim Ryszard *de la Toret*. Oburzeni jego niegodziwościami sąsiedzi (jak powiada Gabryel Dumoulin w swojej *Historji Normandyi (a)*), związali się przeciwko niemu i napadłszy na niego, w jednej z jego licznych wypraw, zagrażających ich włościom, żonom i córkom, zwyciężyli go, zabili i oblegli *Saint-Paer*, którego załoga poddała się dopiero na widok trupa swojego Suzerena, rzuconego pod mury zamku.

W liczbie panów normandzkich, towarzyszących Wilhelmowi Zdobywcy, w wyprawie na zawojowanie Anglii, był Pan z *Saint-Paer*. Posiadacze tego grodu byli możnymi bannaretami za czasów Dugueselin'a i Bayarda. A kiedy Ryszard Lwie serce zajął Normandyą, Filip August zdobył *Saint-Paer* i czas niejaki w nim przebawił. Później jak stary kronikarz poświadcza, obaj ukoronowani spółzawodnicy długą w tym zamku odbywszy naradę, zgodzili się na główne punkta przymierza, zawartego w *Courcelles*.

Wejźmy teraz do nowożytnego *Saint-Paer*. Dostaniemy się do niego, zboczywszy z bitej drogi, wiodącej z Paryża do Rouen, długą odrzewioną ulicą, w końcu której dobroczynna Szatelenka umieściła, jakoby na przedniej straży, siostrę miłosierdzia, mającą zwierzchność nad szkółką małych dziewcząt. Most niegdyś wiszący, dopóki wszystkie wiszące mosty nie spadły pod toporem roku 89go, wprowadzi cię ozdobną kratą na główny dziedziniec. Wsparte na herbownej tarczy dwa lwy bronią przystępu; ale gościnność obcięła im pazury, podobnie jak miłość obcięła pazury lwa Lafontain'a ²⁾. Po prawej stronie, wszedłszy na dziedziniec, ujrzysz kaplicę, poświęconą św. Paternowi. Ryte jej belki, ozdobione figurkami, godłami i herbami z czasów Filipa Augusta, Ryszarda Lwie serce i Franciszka I. poświadczają starożytność budowy. Jestto maleńki raczej kościółek, mający swoją dzwonnice, nawę, chór, zakrystyę i swoje grobowe sklepy, a dawnemi czasy mający i swoje cuda.

P. d'Arlicourt, wypadłszy z łaski królewskiej w r. 1815. za to, że dochował swojej politycznej wiary, za mi-

nisterstwa P. Fouché, kupił *Saint-Paer* i schronił się do niego, nie narzekając, nie szemrzając, nie odwołując się nawet do zasług dziada i ojca, którzy poświęcenie swoje dla sprawy Burbonów krwią własną na rusztowaniu w r. 1793. stwierdzili. Ale wyobraźnia p. d'Arlicourt, wolna odtąd od wszelkich politycznych zatrudnień, które lot jej więziły, mogła w dziejach Francji uczone i szczęśliwe robić wycieczki. Wróciła z nich z licznym orszakiem bohaterów i bohatererek, z wielkiem zajęciem przez ówczesną czytającą publiczność przyjętych, a byli to między innymi: Oskar i Szmajla, Henryk Talebard i Sola, Maurycy i Kalista, Urban i Neolja, a na ich czele Elodja i Samotnik, ów Karol zuchwały, do którego dziwnym zbiegiem wypadków jeden z przodków powieściopisarza, Margrabia z Suchelles, jeździł w poselstwie od Ludwika XI. — Z zamku *Saint-Paer* wyszli ci wszyscy znakomici goście i obiegli całą Europę: wrócili niebawem do swojego gospodarza, przybrani w stroje niemieckie, włoskie, hiszpańskie, portugalskie, duńskie, szwedzkie, rosyjskie i polskie; i w księgozbiórce p. d'Arlicourt można ich było ujrzyć wszystkich, w rozmaitych strojach, przybyłych z rozmaitych stron, przemawiających rozmaitym językiem.

Jeżeli z biblioteki przejdziesz do pracowni, ujrzysz medal złoty, wybity przez Juntę Kadyxką, ażeby przekazać godnie (jak się wyrażają Kortesy owej wielkiej epoki) najpóźniejszym wiekom, „Szczytne wrażenia, jakie na duszach prawdziwie hiszpańskich zrobiły cnoty francuzkie.“ Pismo to złożone zostało p. d'Arlicourt przez deputację, wysłaną z Kadyxu „Każdy Francuz ma prawo szczyścić się tym medalem“ powiedział p. Benjamin Constant w *Minerwie Francuzkiej* (T IV — p. 350). Byłto istotnie wyraz poważania i szacunku, uzyskanego na Hiszpanach w r. 1811. przez p. d'Arlicourt, intendenta armii francuzkiej w Hiszpanii; w tymże samym czasie, kiedy generałowie i żołnierzy francuzcy zdobywali, kosztem krwi hojnie przelanej, kilka miast, nieco chwały i ogrom nienawiści.

Widzisz zatem, że i dzisiejszy *Saint-Paer* ma także swoje wspomnienia; był tu przytem, podobnie jak stary, gospodarz królów i książąt. Przechodząc przez okazały salon, w smaku Ludwika XIV., zatrzymasz się przed wielkim portretem Roberta Lefebvre, podziwianym przed kilku laty na wystawie paryzkiej w Luwrze. Następuje drugi salon, którego tapicerem był sam Ludwik XIV. Król ten polując pewnego razu w lesie *Gisers*, znużony pragnieniem wstąpił do Szatelenki z *Saint-Paer*, zajętej właśnie umeblowaniem swoich pokojów. „Jakże pani ozdobisz ten wielki salon?“ — zapytał król. — „Ponieważ pierwszy jest wydrzewiony, chciałabym obić ten dywanami.“ — „Podejmuję się tego“ — rzekł Ludwik. — W kilkanaście dni potem dama z *Saint-Paer* otrzymała przepyszne gobelinowe

1) Za panowania Ludwika Filipa rozszerzono pałac luxemburski, zachowując styl dawny. Głównym powodem rozszerzenia była potrzeba obszernej sali sądowej, w którejby Izba Parów, jako sąd najwyższy w sprawach o zbrodnie stanu, zasiadać mogła.

2) W bajce: Lew zakochany.

obicie, wyścielające dotąd ściany salonu, dochowując całego swego blasku i całej świetności. Księżna Barry nawiedziła *Saint-Paer* w sierpniu 1825., a świetne jej przyjęcie nie prędko zatrze się w pamięci okolicznych mieszkańców. Wszystkie dzienniki Francji i Europy opisały przepech, z jakim autor *Samotnika* powtórzył dnia tego, w pięknym swoim zwierzyńcu, wszystkie cuda ogrodów Wersalskich, kiedy w nich Ludwik XIV. mitologiczne swoje wyprawiał festyny. W pośród owych okazałości głos jakiś odezwał się do Księżnej: „*Madame, nous sommes chez les fées.*“ — „*Non, pas chez les fées, chez un genie*“ — odpowiedziała zachwycona księżna. Któżby był wówczas przewidział, że w pięć lat później taż sama księżna zostanie tułaczką? Ileż to ludzi, płaszczących się przed nią, obdarzonych jej dobrodziejstwami, zdradę w sercu żywił! Ale d' Arlincourt nie był z ich liczby. Za ledwie grom lipcowy uderzył w *Tuilleires*, on, wierny pielgrzym, szedł pod mury zamku *Lutworth* unżyć się przed majestatem nieszczęścia. Odtąd wylany całkowicie dla sprawy stariej monarchji, służył jej statecznie piórem, jak rycerscy oj-

cowie jego służyli jej orężem, wykrzykując: *Montjoie et Saint Denis!*“ —

Nim porzucimy brzegi *Lewryery (Levriere)*, rokosznej rzeczki, która jak mówią wytrysnęła z pod nogi spragnionego zająca i skrapia *Senperski* zwierzyńiec — powtórzmy piękne wiersze anatola hrabiego *Montesquieu*, napisane do niej w r. 1825.

Wesoła rzeczko! Odbiegasz tych cieni,
Odbiegasz wdzięków kwitnącej doliny;
Gdzież ci rozkoszniej gaj się rozzieleni
I gdzież szczęśliwsze wysnują godziny!
Wszystko ci tutaj spokojny byt wróży;
Niebaczna! spieszysz gwarne zwiedzić grody:
Lecz w śród powodzeń zbyt krótkiej podróży,
Żałować będziesz straconej swobody.
I bez powrotu, błędna wędrownico,
Rzucasz te gaje w pełnej ich ozdobie;
Inne cię brzegi dłużej nie zachwycą...
Rzeczko! Nie będę ja podobny tobie!

VIII.

WSPOMNIENIA SZAMPANII. — SKOK PUSTELNIKA.

O pół mili od *Louvois* w Szampanii, a w pobliżu wioski *Ville en Selve*, w początkach panowania Ludwika Filipa, zasypiano ciemną pieczarę, zwaną *Skokiem pustelnika*. Samotna w pośrodku lasu, obrośnięta do koła gęstemi krzakami, stała się postrachem opóźnionych wędrowców, pomijających ją skwapliwie, tak dla niej samej, jako też dla licznych, przyległych do niej kryjówek, wielce złym zamiarom dogodnych. Łatwowierna wyobraźnia mieszkańców zaludniła ją duchami i psotnymi jestestwami; a ta gminna wiara otworzyła niewyczerpane źródło tajemniczych zjawisk i cudownych podań. Niejeden drwał, wróciwszy z roboty, opowiadał skupionej przy ognisku rodzinie dziwne przygody, których on i ojcowie jego byli bohaterami, lub naocznymi świadkami. I tak ów utrzymywał, że pewnej burzliwej nocy, niewiasta pełna powagi wzniosła się z głębi *Skoku pustelnika* i uśmierzyła burzę, która już zniszczyła część pobliskiej wioski *Ville en Selve*; tamten znowu upewniał, że kilka potworów, wybiegłszy z tejże otchłani, pustoszyło okolicę i okryło żałobą przy-

ległe włości. Z temi powieściami zamieszały się posępne obrazy średniowiecznych kronik, a między innymi i legenda *Skoku pustelnika*. Dobroduszne matki powtarzały dzieciom swoim te bajki; łatwo się domyśleć, jak ich ciekawie słuchano. Opowiadania matki tyle mają powabu!

Bohomolec. Diabeł w swojej postaci. Cz. I. str. 3.

Niedowiarki uśmiechali się złośliwie i dowodzili, że wszystkie cudowności *Skoku pustelnika* niczem innym być nie mogły, tylko fortelami bandy rabusiów, ukrywających się w pieczarze. Dzisiejsi wieśniacy zaczynają podzielać to zdanie, ale jeszcze przy końcu zeszłego wieku *Skok pustelnika* uchodził, w ich mniemaniu, za siedlisko potworów i duchów.

LEGENDA SKOKU PUSTELNIKA.

Pod koniec IX. wieku, żył w lasach *żermęskich (Germaine)*, stary pustelnik nazwiskiem *Fulgund*. Lubił on przebiegać osady, przyległe swojemu schronieniu, i zlewać pociechę na strapione serca. Biednym udzielał małego wsparcia, bogatych nakłaniał do składki na zbudowanie kaplicy N. Pannie.

Bo podówczas w całym kraju nie ujrzałbyś świątyni, wzniesionej na cześć Bogarodzicy. Wieśniacy nie troszczyli się bynajmniej o to; a djabeł, jak się zdaje, utwierdzał ich w tej bezbożnej obojętności.

Jednego wieczora *Fulgund* modlił się w swojej celi, z większą żarliwością niż zwykle. Nagle zapukano do drzwi, pustelnik otworzył, a jakiś młodzieniec, z promienistym obliczem, stanął przed nim i rzekł:

„Dobry pustelniku, prośby twoje wysłuchane zostały; jak tylko zechcesz, kaplica stanie na cześć królowej aniołów. Weź ten obraz N. Panny, z nim cudów dokonasz.“

Pustelnik złożył dzięki tajemniczemu posłańcowi; a zostawszy sam w celi, radował się w duchu, całował cudowny obraz i mówił sam do siebie: „Raz przecie skaręc szatana i tak mu dam się we znaki, że ze wstydem do piekła powróci. Nie mamy budowniczego w kraju, on nim będzie; a co większa, będzie musiał pracować jak niewolnik i sam ociosywać kamienie i sam je składać jedne na drugie, pokąd nie stanie kaplica.“

Zajęty temi myślami pustelnik zasnął głęboko, a gdy się obudził, wziął cudowne wyobrażenie, obrócił je ku ziemi i szeptał jakieś wyrazy.

W tejsze chwili rozwarła się ziemia i zjawił się mały potworek.

— Witaj kumie szatanie — wykrzyknął pustelnik — potrzebowałem cię właśnie, żebyś mi zbudował kaplicę dla N. Panny.

Potworek skrzywił się okropnie i chciał zemknąć, ale *Fulgund* błasnął mu w oczy cudownym obrazem i wrył go w miejscu, rozkazując aby natychmiast wziął się do roboty.

— Z czegoż zbuduję — rzekł szatan — nie mam kamienia ani wapna.

— Nie troszcz się o to, idź za mną!

Posłuchał szatan, ale zgrzytnął zębami i rył ziemię kopytem. Dobry pustelnik patrzył na to i uśmiechał się.

Przyszedłszy na piękne wzgórze, stanęli. Szatan zaczął grzebać ziemię na fundamenta kaplicy, a *Fulgund* prze-

myślał o zebraniu materyałów. Dojrzał, niedaleko od *Germaine*, kamienisty padół, zwrócił obraz N. Panny ku tej stronie, w tejsze chwili rozwarł się padół, kamienie wysypały się z łoskotem, cudownie podleciały w górę i spadły przy nogach szatana. W mgnieniu oka obrobił je szatan i zaczął budować kaplicę. Doglądał go pilnie pustelnik i biedny szatan pracował jak muł do wieczora, krwawym zalewając się potem. Na chwilę nawet spocząć mu nie dano. Koniec końców, szła robota żwawo; brakowało już tylko kilku kamieni do sklepienia, kiedy pustelnik, rozciągnąwszy się na murawie, zasnął w najlepsze. Odetchnął szatan i zaczął urągać złośliwie.

— Dobrze, dobrze, teraz na mnie kolej. Majster zasnął, splełajmy mu figła i pohulajmy sobie.

Nie tracąc czasu, szatan spuścił się jak pajak ze szczytu wieżyczki, wniesionej na kaplicy, wyciągnął kamień jeden z fundamentów i odszedł.

O północy, okropny łoskot budzi pustelnika; drzy ziemia i cała kaplica rozsypuje się w gruzy. W tejsze chwili objawia się *Fulgundowi* anioł i mówi:

— Szatan pokonał ciebie; zburzył w nocy, coś zbudował we dnie; jesteś jego niewolnikiem.

Zniknął anioł, a szatan miejsce jego zajął.

Radość błyszczała w jego oczach i pycha osiadła na czole.

— Dalej w drogę! — krzyknął na pustelnika.

Wahał się pustelnik; pchnął go z tyłu szatan i podrygując, przyprowadził go na brzeg padółu, z którego wyszły kamienie do kaplicy, a potem jednym uderzeniem kopyta strącił go w przepaść.

Fulgund nie zabił się. Po chwili omdlenia odzyskał zmysły i modlił się gorąco do N. Panny, żeby się zlitowała nad nim. Modły jego nie zaraz wysłuchane były. Musiał przeżyć dwa lata w tej otchłani; a gdy czas pokuty upłynął, wyprowadził go anioł i wrócił tęskniącym za nim wieśniakom, a ci nazwali *Skokiem pustelnika* pieczarę, w której *Fulgund* dwa lata życia przepłakał.

KSAWERY GODEBSKI.

DWOREK MYŚLIWSKI KRÓLA JANA III. W JAWOROWIE.

Nie masz u nas piędzi ziemi, nie masz tak pustego kątką, któryby nie budził w pamięci jakichś wspomnień z mniej lub więcej odległej przeszłości, nie przenosił nas myślą w czasy, które zginęły w rzeczywistości niepowrotnie, ale jaśnieją zato tem żywszemi barwami w wyobraźni naszych poetów i powieściopisarzy. Poczynając od zgrzybiałej wieży kruszwickiej na Gople, sięgającej począt-

kiem swoim mitycznych czasów Popielów i praojca królewskiego rodu Piastów, niemal z każdym kościółkiem, z każdym szczątkiem starych murów, z każdym dawnym dworem szlacheckim, z każdym siołem, z każdą mogiłą, dumającą wśród głuchego stepu, łączą się jakieś wspomnienie dziejowe i wiąże nierozzerwanym węzłem teraźniejszość z przeszłością. Cała ziemia polska, jak daleko

siegają jej kresy, to jakoby wielka księga pisana ciosem i kielnią murarską, mieczem i krwią. Trzeba w niej tylko umieć czytać!

Nasze strony, starodawna ziemia laska, Ruś czerwona, to właśnie najobfitsza i najpiękniejsza karta tej księgi. Nie potrzebujesz tutaj szukać gruzów zamków i twierdz — tutaj każdy zagon roli, którą krajiesz pługiem, ma swoje wspomnienia dziejowe, ma swoją historję, która strugami krwi przelanej, łunami pożog, mogiłami kości, poległych w obronie ojczystej strzechy i swobody bohaterów, łączy się w jeden obraz dziejów całego narodu. Zapytaj tych kul, wielkich jak głowy, które spotykasz tak często rdzewiejące w trawie na cmentarzach tutejszych kościołków, zapytaj każdego sioła, kto je założył, ile razy ono pogrążyło się w zgliszczach i ile razy z nich napowrót się podźwigało, zapytaj tych niw, płynących złotym kłosem pszenicy, czyja ręka pierwszy po nich prowadziła pług, czyja ręka spędzała z nich tatarskie zagony — a usłyszysz wszędzie imię którego z tych oraczy bohaterów, którzy przy zatkniętych na miedzach karabelach orali swoje role i nie lubili wznosić obronnych murów, stawiając murem własne piersi w obronie ojczyzny.

Toż nie dziw, że taką ziemię ciągłych zapasów rycerskich, rozbrzmiewającą prawie bez przerwy poszczękiem oręży, ukochali i bohaterscy królowie nasi, którzy opuszczając często stołeczne swe grody, szli na Ruś czerwoną nietylko po to, aby krwawą pracą dobijać się nowych laurów rycerskich, lecz także po trudach wojennych najchętniej w tych stronach szukali wypoczynku, jako na najmiłszym im polu ich tryumfów i sławy wojennej.

Ale najbardziej ze wszystkich umiłował te strony głośny w dziejach świata chrześcijańskiego obrońca Wiednia, król Jan III. Tu bowiem, w Olesku przyszedł on na świat, tu założył on sławy swojej początki, jako godny potomek Żółkiewskich, Daniłowiczów i Koniecpolskich, tu posiadał rozległe dobra, które nań spadły po kądzieli i drogą zasługi. Pomiędzy pierwszymi najmiłszą mu była Żółkiew, założona przez sławnego hetmana Stanisława Żółkiewskiego, poległego pod Cecorą, pomiędzy drugimi Jaworów, starostwo, które było pierwszą nagrodą zasług ojca jego. i w spadku po nim przeszło na syna.

Jaworów, erygowany na miasteczko już w czasach Kazimierza Jagiellończyka, nie mógł się równać z warowną i z przepychem pańskim ozdobioną Żółkwią, ale Jan Sobieski, już jako chorąży koronny dokładał starania, aby go umocnić i ozdobić. Opatrzył on zamek jaworowski

własną armatą, założył przy nim ogród włoski, i podobnie jak później w Żółkwi myśliwski Haraj, tak i tutaj pobudował sobie na wysokim wybrzeżu nad stawem myśliwski domek, zamiłowany jak każdy wojownik w rycerskiej zabawie łowów.

Jakoż kiedy skroń chorążego uwieńczyła korona królewska, zjechał on w r. 1676 do ulubionego Jaworowa i tutaj robił przygotowania do wojny z Turkami. W r. 1684 gościł w tem miejscu powtórnie czas dłuższy, aby być bliżej obecnym zbieraniu się wojska na odzyskanie Kamieńca z rąk Bisurmanów. Zajaśniał wtedy Jaworów sławą koronowanego bohatera, a dworek myśliwski brzmiał niejednokrotnie wesołem gwarem dostojnej drużyny królewskiej i przemnogich gości, którzy skracali sobie łowami niecierpliwie oczekiwania ukończenia przygotowań do wyprawy wojennej. Tutaj stawiono następnie przed zwycięskim królem wziętego w niewolę hospodara wołoskiego Dukaja, którego bojarowie hołd złożywszy, wiarę Janowi III. zaprzysięgli. Tutaj zjechał w czerwcu tegoż roku hr. Montecuculi, poseł hiszpański, winszując królowi polskiemu w imieniu króla swojego szczęśliwego powodzenia wyprawy wiedeńskiej. Tutaj też powitali następnie Jana III. hr. Wallenstein, nadzwyczajny poseł cesarski, i Angello Morosini, poseł wenecki, mający polecenie towarzyszenia królowi w wyprawie na Turków. Tutaj bawiła kilkakrotnie Marya Kaziemiera z świetnym dworem swoim, przyjmując patryarchalnym obyczajem dary od mieszczan jaworowskich i okolicznego ludu. Tutaj to przed owym dworkiem łowieckim wiódł król bohater tany w pierwszej parze z kowalową jaworowską, obsypując hojnie łaskami mieszczan Jaworowa.

Późniejsze napady nieprzyjacielskie spustoszyły Jaworów, niedbalstwo starostów, w których posiadanie przeszedł po śmierci Maryi Kaziemiry, dozwoliły podupaść jego zamkowi i jego warowniom. Dzisiaj z zamku ledwie ślad jakiś pozostał w okopach i wałach, tylko dworek myśliwski króla Jana III przetrwał do dni naszych w tym stanie, w jakim go przedstawia nasza rycina.

Stoi on, otoczony dokoła starami lipami, na wyniosłym wybrzeżu, z którego roztacza się piękny i rozległy widok na staw i dalszą okolicę. Zbudowany jest z drzewa i tylko zewnątrz obmurowany. Okna ma wąskie, sklepione, drzwi wchodowe od zachodu, sień wielką, usłaną kamienią posadzką i kilka izb, w których napróżnobyś już dziś szukał jakichś pamiątek po jego założycielu i śladów królewskiej świetności.

L. T.

RESZTKI ZAMKU W DĄBROWIE.

Nie wiem czy jest smętniejsze uczucie nad to, którego się doznaje błędząc po ruinach, deptąc nogą walające się w prochu szczątki dawnego przepychu i zbytku, sponiewierane, zbrudzone, zdruzgotane bezrozumną, świętokradzką ręką. Ściska się serce, myśl mimowolnie nurza się w przeszłość, wyobraźnia wysiła się, aby z tych ułamków odtworzyć sobie obraz przeszłości, toniesz w marzeniu, aż cię przewodnik zbudzi nieproszonym objaśnieniem: „Tu był jeszcze długi mur nad tą fosą, ale pan dziedzic zburzył go i kamień i cegłę zabrał na browar, lub stajnię“.

różczką czarodziejską kazała im stanąć w miejscu. Pełz podobnych pamiątek z równą pielęgnowanych pieczołowitością spotykasz na każdym kroku w Niemczech.

My szczycim się tem, że ze wszystkich narodów Europy najmniej jesteśmy materyalni, że najbardziej zdolni jesteśmy do podrywów idealnych, że miłujemy całym sercem przeszłość naszą, a w jakimże u nas stanie znajdują się pamiątki tej przeszłości?

Odpowiedzią na to pytanie te kilka słów o stanie zamku w Dąbrowie.

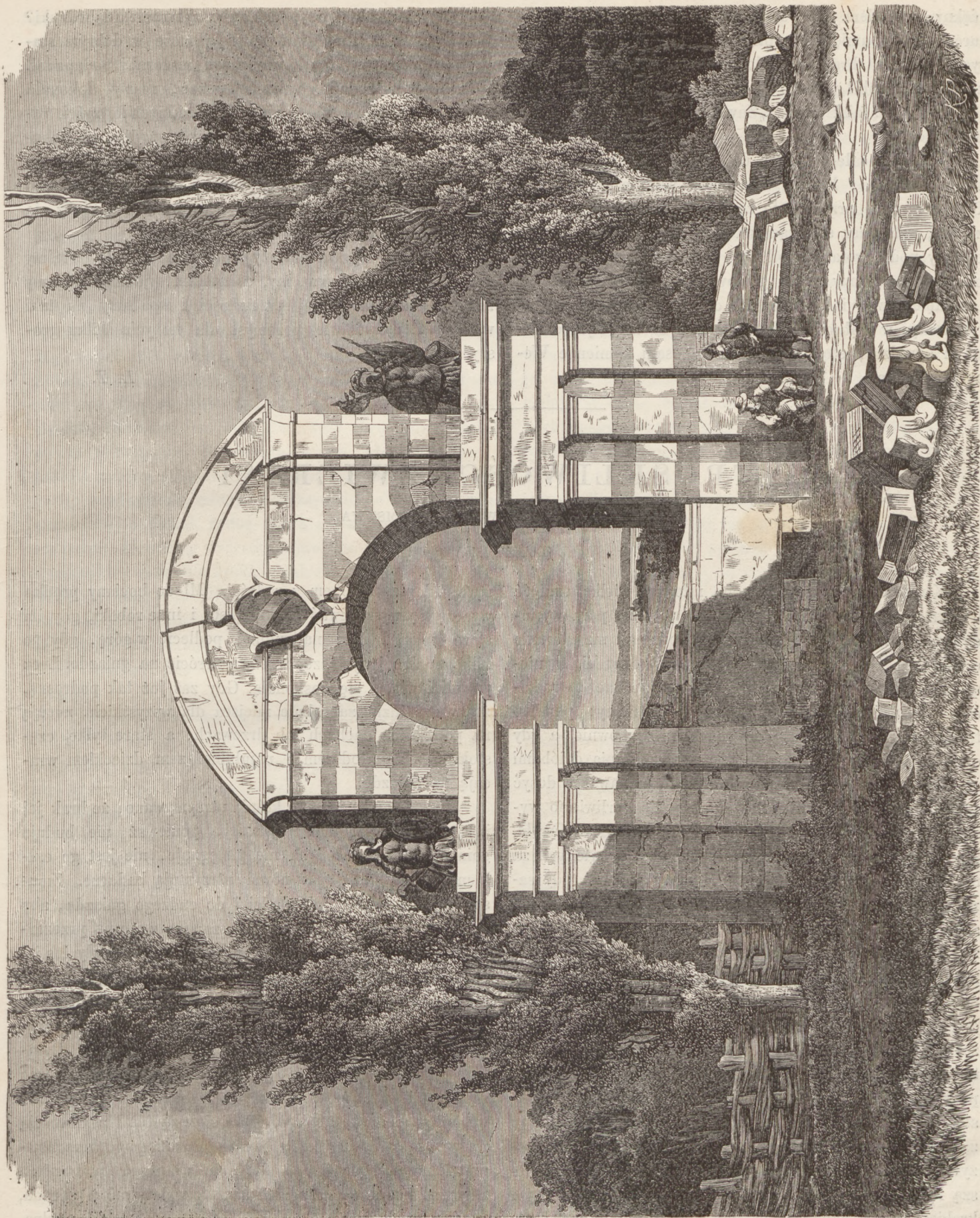


Dworek króla Jana III. w Jaworowie.

A ileż to u nas niestety szacownych naszej przeszłości pamiątek poszło tą drogą?! Jak mało z nich doznało szczęśliwszego losu, troskliwszej opieki.

Anglicy, którym zarzucają spotęgowany do najwyższego stopnia materyalizm, otaczają przecież religijną czcią i poszanowaniem pamiątki swojej przeszłości dziejowej. Znajdziesz tam zamki stare, zachowane tak dobrze, utrzymywane z taką troskliwością, że zda się jakoby potęga niszcząca czasu skruszyła się o ich mury, jakoby jakaś tajemnicza siła powstrzymała w nich postęp wieków, i

Dąbrowa, leżąca w tej części województwa sandomierskiego, która po rozbiórce Polski przeszła pod panowanie Austrii, w dawniejszym powiecie pilźnieńskim, a w teraźniejszym obwodzie tarnowskim, należała niegdyś do znakomitej rodziny Ligenzów. W wieku XVII. istniała tam drukarnia, z której w r. 1618 wyszła książka łacińska religijnej treści dedykowana przez Mikołaja Spytka z Bobrku Ligenzę królowi Zygmuntovi III. Następnie przeszła Dąbrowa w posiadanie książąt Lubomirskich, którzy tu zbudowali wspaniały pałac w kształt zamku, i ozdobili go



Resztki zamku w Dębrowie. (str. 410).

pięknym ogrodem. Do budowy gmachu tego użyto jeńców tureckich, w pamiętnej wyprawie r. 1683 w niewolę wziętych. Okazała brama wjazdowa prowadziła w podwórzec zamkowy. Zdobiał ją herb Śrzeniawa, wyobrażający rzekę, pod którym jaśniał napis: „Zawsze przyplywa, nigdy nie odpływa.“

Dzisiaj z całego zamku dąbrowskiego pozostała tylko ta jedna brama, którą rycina nasza wiernie przedstawia. Przedarłszy się przez gęste zarośla pokrzyw i przeroźnego zielska, natrafiasz sterczące szczyby murów, kupy gruzów, odłamy podruzgotanych odrzwi z czerwonego i czarnego marmuru, czerepy figur gipsowych, kolumn, kapitelów i ornamentów — i oto wszystko co pozostało po książęcej rezydencji w Dąbrowie. W zaniedbanym, zarosłym chwastami ogrodzie, stoją jeszcze dwa posągi kamienne Wenery i Apolina.

Zapytasz, jakiż przypadek zniszczył zamek dąbrowski? W r. 1846 znajdował on się jeszcze w dobrym stanie, ale opuszczony przez właścicieli niszczał i podupadał. W r. 1848 uszkodził go mocno pożar, reszty dokonała ręka ludzka. Mury, które nie nosły żadnych korzyści, rozebrano i spożytkowano, sprzedawszy je żydom na budowanie kilku szynkowni; wśród podwórza zbudowano piec, w którym czerepy z gipsowych odlewów wypalano na wapno. Snać musiała ich być wielka ilość, kiedy się opłaciło budować piec dla nich jedynie.

I niechże się kto poważy twierdzić, że nie jesteśmy narodem przemysłowym, my, co z takim cynizmem umiemy niszczyć zabytki naszej przeszłości, i wpadamy na taki wandalski prawdziwie przemysł dla nabycia kilku groszy!...

L. T.

O TROSKLIWOŚCI ZWIERZĄT

W PIELĘGNOWANIU SWEGO POTOMSTWA.

(Dokończenie.)

Kuropatwy okazują swoim młodym wielką czułość i trzymają je przy sobie, póki nie nadejdzie pora wysiadania świeżych jaj. Ojciec rządzi rodziną i ma staranie o jej dobro. Gdy się z jaj wykłują małe bocianki, są niesłychanej brzydoty, w niczem zgoła niepodobne do rodziców, niezgrabne, gołe, wyglądają jak poczwary; pomimo to jednak rodzice cieszą się nimi niewymownie, a gdy ostatnie piskle wykłuje się z jaja, stare kłapią dziobami na znak radości tak głośno, że słychać je nawet w dosyć znacznej odległości. Rodzice starają się gorliwie o wygodę i pożywienie dla młodych; znoszą im robaki, żabki, pijawki, tudzież piskorze, które uchodzą u młodych za największy przysmak, i tym podobne żyjątka. A gdy samica odleci na krótką przechadzkę lub po żywność dla siebie, samiec siada na gnieździe i okrywa młode, aby nie zziębły. On to, gdy podrosną, uczy ich porządku i przyzwyczajają do ochędóstwa, karcąc nawet czasem surowo za nieposłuszeństwo. Młode bocianki długo nie lubią wylecieć z gniazda. Leniwe radeby tak całe życie pożywać owoce zachodów rodzicielskich i siedzieć sobie wygodnie, ale im to niedługo uchodzi. Chociaż matka cierpliwie pobłaża pieszczochom, ojciec — gdy podrosną, nie pozwala się wczasować, uczy latać, niekiedy strąca z gniazda, gdy które za długo niedorostka udaje, i przymusza szukać sobie pożywienia. W tym celu cała rodzina udaje się na najbliższą łąkę i tam odbywa się nauka. Stary bocian poważnym krokiem stąpa naprzód, za nim powoli idą młode i naśladują każdy ruch ojca, a matka podziwia swoje potom-

stwo, kłapiąc dziobem z radości. Młode bociany prędko wyuczą się wyszukiwać żabki, glisty i inne robaki, gdy im stare pokażą. Ale najtrudniej podlecieć w górę, gdy po kilkogodzinnej wycieczce trzeba powrócić na gniazdo. Lecz powoli i w tem się doskonala. Gdy zaś już tak podrosną, że w gnieździe zabraknie miejsca dla wszystkich, nocują na pobliskich dachach lub drzewach, a stare tylko, częstokroć z najmłodszym i najulubieńszym dzieckiem wracają na gniazdo.

Nawet kukułka, o której utrzymywano, że brak jej instynktu miłości macierzyńskiej, ponieważ nie buduje gniazd i swoich młodych nie pielęgnuje, nie jest go całkiem pozbawiona, jak nowsi utrzymują badacze. Zmuszona zakradać się jak złodziej do cudzego gniazda, aby tam znieść swoje jajko, czyni to zawsze z pewną przecznością i zawsze ma wzgląd na to, aby przyszły los jej potomków był zabezpieczony. Co większa, jaja swoje i dziecię, którego niewolno jej pielęgnować i żywić, niekiedy odwiedza. Zapewniają, że małe ptaszyny są bardzo uszczęśliwione, gdy je kukułka swoim jajkiem obdarzy. Oglądają je ze wszystkich stron, skaczą po gnieździe ciesząc się niezmiernie, że je spotkał taki zaszczyt, i cierpliwie wysiadują podrzucone jajo. Z największą też troskliwością pielęgnują pasierba, zresztą bardzo brzydkiego powierzchownie i nawet uciążliwego dla ich własnego potomstwa. Gdy zaś kukułka podrośnie i zacznie wylatywać z gniazda, a siedząc na drzewie oznajmi krzykiem, że jest głodna, ze wszystkich stron zbiegają się ptaszki i niosą jej poży-

wienie: jeden muchą, drugi chrząszcza, inny robaczka, a wszystkie chciałyby odrazu napełnić dziób zgłodniałej sieroty, kukulka zaś widząc tyle piastunek w około siebie nie wie, której się oddać w opiekę.

Mniej takiego wzruszającego przywiązania i poświęcenia spotykamy w dwóch następnych klasach zwierząt grzbietowych, płazach i rybach. Ale i u nich staranie o przyszłość płodu stanowi najpoważniejszą część gospodarstwa domowego. Żółw wylęgający jaja na grzbiecie, i noszący na nim młode, lub ukrywający je w osobnym worku pod skórą, ryba budująca gniazdo i z zadziwiającą odwagą broniąca do niego przystępu, czyż to nie godne uwagi przykłady? Przykładów takich bezwątpienia mielibyśmy znacznie więcej, gdyby sposób życia domowego zwierząt, należących do tych klas, był lepiej znany badaczom. Żółwie jak wiadomo odbywają wędrówki jedynie w tym celu, aby ikry nie puszczać w morzu, gdzie nie jest bezpieczną. Niektóre zaś ryby puściwszy ikrę długo jeszcze potem pilnują jej. Są zresztą węże, które nie mogąc znaleźć miejsca stósownego na gniazdo, noszą jaja w sobie aż do wyklucia się młodych. Wszystkie te fakta są zdumiewające, a jednak żadną miarą nie możemy się jeszcze pochłubić, że znamy wszystkie zjawiska w życiu zwierząt, a osobiwie wszystkie środki, jakich używają stare dla zabezpieczenia bytu swoich młodych. Rozbudzony popęd do nauk przyrodniczych, które tak bardzo uszlachetniają tych co im się oddają, rozszerzy z czasem zakres szczupłych naszych wiadomości i nie jedną odsłoni nam tajemnicę.

U zwierząt niższego rzędu widzimy objawy tego samego rodzaju. Otaczają nas tu wszędzie nadspodziewane cuda, których poznanie sowitą bywa nagrodą dla badacza za jego wytrwałość i ciężkie trudy.

Owady dzielimy podobnie jak ptaki na dwie klasy, nie różniące się jednak tak wybitnie. Jedne mają staranie tylko o jaja, bynajmniej nie troszcząc się o potomstwo, drugie budują gniazda i przysposabiają żywność, lub też choć nie czynią tego wszystkiego, i tak najtroskliwiej wychowują swoje młode. Te ostatnie należą po większej części do błonkoskrzydłych, które nowsi systematycy stawiają na czele całego rodu owadów. Ich życie towarzyskie, wewnętrzne urządzenie całego gospodarstwa, wreszcie zdumiewająca zmyślność we wszystkim co czynią, wszystko to może służyć na dowód, jak ciasnem jest zwykłe nasze pojęcie o instynkcie.

Nie zapuszczając się w szczegóły gospodarstwa mrówek, przypatrzmy się tylko, jak się one obchodzą ze swojemi młodem. Mrówki znoszą jajka w końcu sierpnia. Są one wówczas tak małe, że trudno je dojrzeć gołym okiem. Przez zimę leżą w kopcu na samym spodzie, i dopiero na wiosnę robotnice wynoszą je do górnych piątr budowy, gdzie wkrótce pod wpływem ożywczych promieni

słonecznych z jaj wykluwają się robaczki. Te są jakby zakrzywione, nie mają nóg i dla tego nie mogą się poruszać. Pielęgnowanie tych robaczek jest głównem zatrudnieniem mrówek. Biegają nieustannie na wszystkie strony, szukając przysmaczków dla swoich wychowanków. W końcu maja lub na początku czerwca robaczki obwłóczą się przedzą jedwabistą i stają się poczwarkami, a wówczas są znacznie większe nawet od dorosłych samiczek, nie ruszają się i nie jedzą. W tym stanie potrzebują prawie takiej opieki i troskliwości, jak nasze niemowlęta. Trzeba je czyścić, ogrzewać, obwiązać, wynosić na świeże powietrze, na słońce, a podczas zbytznego upału przenosić do cienia. W ogólności robotnice okazują dla poczwarek czułość prawdziwie macierzyńską. W razie niebezpieczeństwa troszczą się tylko o nie i jak najspieszniej przenoszą je w miejsca zaciszne, często bardzo daleko. Gdy zaś nadejdzie czas, że młoda mrówka ma już wydobyć się z trumienki, w której jako poczwarka siedziała, natenczas robotnice z największą ostrożnością przegryzują tkaninę, aby jej dopomóc do wydobycia się, poczem już tylko przez kilka dni mają nad nią opiekę. Robaczki pszczoł, które się wylęgają z jaj już w cztery lub pięć dni po ich zniesieniu, dostają na pokarm papkę miodową codziennie świeżo przyrządzoną, i to co dzień więcej, w miarę jak dorastają. Papka dla samiczek jest gęstsza i słodsza niż dla innych. Po sześciu lub siedmiu dniach robotnice po raz ostatni przynoszą wychowawcy pożywienie i jej komórkę zalepiają woskiem. Robaczek owija się jedwabistą przedzą własnej roboty i staje się poczwarką, a skoro po dwunastu dniach młoda pszczoła wydobędzie się ze swego więzienia, służebne czyszczą starannie jej pokoi.

Godna uwagi, że tutaj rodzice nie pielęgnują same swego potomstwa, lecz mają do tego robotnice, i tylko nowo powstające towarzystwa trzmieli i os są tu szczególnym wyjątkiem, że samiczka rój zakładająca z początku wszystko sama robi. Tu powtarza się okoliczność wspomniona przy kotach, mianowicie że robotnice trzmieli cychają na jaja, które samiczka znosi. Aby je ochronić od grożącego niebezpieczeństwa, musi nie raz używać całej swojej siły, musi zamykać komórki i pilnie czuwać nad niemi. Oprócz poprzednich mamy jeszcze jeden gatunek owadów, które dla wychowywania potomstwa towarzyskie prowadzą życie. Są to termyty, a jakkolwiek jeszcze nie wiele dokładnych mamy wiadomości o ich gospodarstwie domowem, to przynajmniej pewna, że robotnice termitów pielęgnują młode swoich samiczek w taki sam sposób jak mrówki.

Owady błonkoskrzydłe w gólności, przysposabiające żywność dla swego potomstwa, albo je zgromadzają od razu, albo starają się o zapasy w miarę potrzeby. Jest nią albo wspomniona wyżej papka z mączki kwiatowej i miodu, albo części zwierzęce po trochu zwłócone do

mieszkania. Tu napotykamy także nieznaną zresztą w całej przyrodzie przykład porażania ofiar przeznaczonych na pokarm dla potomstwa. Osa jednym dotknięciem żądła poraża swoją ofiarę. Istoty częstokroć o wiele większe i mocniejsze od nich, jakby gromem rażone, padają nagle bez zmysłów i nie umierając, nie żyjąc, leżą martwe. Owad tak porażony, okazuje czucie nawet po kilku tygodniach i drga konwulsyjnie, a jednak z letargu przebudzić się nie może. Zadziwiającymi są przytem niez mordowane wysilenia os, aby łup taki, często dziesięć razy cięższy od nich, przenieść w miejsce właściwe, jak niemniej zdumiewającą jest troskliwość ich we wszystkim, co czynią dla zabezpieczenia przyszłości swego potomstwa.

Ułożone w komórkach stopy gąsienic i pajaków wystarczają zwykle na tak długo, aż pomrowie uprzątnąwszy zapas podrośnie i dojrzeje do odbycia przemiany. Wiadomo że to następuje zawsze prawie w jednakowym czasie, zatem i ilość musi być zawsze odpowiednio wymierzona. Czy to łatwo?

Ale owady, który nie gromadzą stałych zapasów, jeszcze większe mają do pokonania trudności, a jednak i u tych wszystko w największym odbywa się porządku, i nigdy się nie zdarza, aby w której komórce było jada za wiele, lub za mało. Jakże to trudne być musi utrafić i czas właściwy i ilość pożywienia! Jak pamiętać, kiedy które jajko zostało zniesione, kiedy się z niego ma wykłuć robaczek? Nawet pomiędzy zwierzętami najwyższych rzędów nie ma żadnego, któreby potrzebowało takiego obliczenia.

Cały pozostały zastęp zwierząt bezgrzbietnych podobne nastrocza przykłady zmyślności, przezorności i troskliwości o los swoich młodych, zwłaszcza co się tyczy wyboru miejsca na jajka. Wykluwające się z nich pomrowie znajduje zawsze tuż koło siebie wszystko, co mu do życia potrzebne, i bez troski oczekuje czasu dalszej przemiany. Macierzyńską troskliwość okazują dzieciom swoim skórki i pająki. Pierwsze wysiadują jaja, i skoro się z nich młode wylęgną, ogrzewają je swoim ciałem. U pajaków jeszcze jest czulszym ten instynkt macierzyństwa, z największą bowiem troskliwością pilnują dzieci swoich, karmią je i noszą.

Przejdźmy teraz do istot pasożytnych. Są one wiele rozmaite. Najniewinniejsze są te, które zajmują mieszkanie jakby umyślnie dla nich przez przyrodę przygotowane, lub przysposobione przez inne istoty. Tu potomstwo obarczonego przybyszami gospodarza nie wiele lub wcale od sąsiadów nie doznaje przykrości. Ale są pasożyty, które żyją w nagromadzonem pożywieniu, spożywają je i niszczą, a poczwarki, dla których właściwie te zapasy były przeznaczone, nie mając co jeść, muszą przedwcześnie ginąć śmiercią głodową. Matki tych pasożytów uciekają się często do rozlicznych podstępów, a czasem wstępnym bojem zdobywają sobie miejsca upatrzone na zniesienie jajek.

Najdziksze, najprzebieglejsze a oraz najwytrwalsze są gąsieniczki właściwe. Dla umieszczenia swoich jaj w miejscu odpowiednem ich naturze, częstokroć największe pokonywać muszą trudności, a trudności te prawie niezwykłymi się zdają, gdy zważymy, jakimi to środkami tak wzięty owad rozporządzać może. Jednakowoż niczem jest dla niego wyszukiwać w najtwardszem drzewie poczwarki przeznaczone na mieszkanie dla jego płodu. Zadziwia nas okazywana przy tem wytrwałość; ale to jeszcze nie wszystko. Troskliwy owad musi zawsze wybierać na mieszkanie dla swego płodu robaki jednego wieku, a pomijać za stare lub za młode jako nieodpowiednie celowi.

Trudne jest także zadanie galasówek. Piłką, żądłem lub świderkiem, bo każdy gatunek innemi opatrzone jest narzędziami, przebijają najtwardsze części roślin, aby się dostać do wnętrza o tyle, o ile potrzeba, aby zabezpieczyć przyszłość potomstwa. Przypatrzmy się galasówce, która na spodniej stronie liści dębowych robi kulki wielkości orzecha. W pierwszych dniach wiosny przebija z boku pączek liściowy, jeszcze całkiem zamknięty i grubą łuską pokryty, w poprzek ku środkowi. Żądło zatopione na linię w głąb, a więc prawie aż po osadę, dosięgło jednego z wewnętrznych w pączku zwiniętych listków. Wiemy że galas nigdy nie przylega do tkaniny liścia, lecz zawsze do jednej z jego żył; owad więc, zapuszczając żądło, musiał czuć gdzie jest żyła, bo gdy już zacznie świderować, nie może zmienić kierunku. Po zniesieniu jaja, nim jeszcze robak powstać może, widać już na rozwijającym się liściu nabrzmienia wielkości główki od szpilki, które odtąd powiększa się coraz bardziej. Łatwiejszą jest praca innych rodzajów tego owadu, które znoszą jaja albo na powierzchni liści, albo przebijają tylko ich miękką skóreczkę, aby złożyć jajko w mięsie.

Ryjkowce także za pomocą różnych wielce sztucznych narzędzi przysposabiają mieszkania dla swoich dzieci. Mierzą, pilują, krają, a zawsze tak pilnie, z takim zapalem, że ogrodnik wpada w rozpacz na widok tych najezdźników. Ale bo też one słabemi zresztą narzędziami w krótkim czasie w niwec obracają jego plon całoroczny. Tyśiące pustosznic zakładają miny pomiędzy drzewem a korą. Wołki zwane orzechowcami przebijają skorupę żołędzi i orzechów, na których psują się najlepsze nasze narzędzia, a ileż to korcy śliwek marnieje corocznie w każdym ogrodzie z łaski maleńkiego ryjkowca, który je przeznacza na mieszkanie i spiżarnię dla swego potomstwa.

Zastanówmy się nad tym ostatnim przykładem i podziwiamy szczególniejszą zmyślność owadu. Łatwo byłoby mu odciąć owoc, aby upadł na ziemię; ale byłoby to zawcześnie. Zgniłby wkrótce, a robak wykluwszy się po kilku tygodniach, nie mógłby się już nim karmić. Owad więc podcina szypułkę owocu naokoło, aby śliwka pozabawiona tym sposobem przyływu soków zwiędła po-

woli, obumarła i właśnie wtedy upadła na ziemię, gdy robak dojdzie do tego stanu, że będzie potrzebował zjeść owoc w taki sposób przysposobiony.

Niemniej zadziwiająca jest zręczność liściowojów, pięknych purpurą lub złotem lśniących owadów, które

istot na największe zasługuje podziwienie. Wszak nieraz widzieć można na pniach drzew jajka owadów okryte trwałym kitem, lub owinięte w ciepłą wełnę, aby mogły znieść ostrość pory — można się przekonać naocznie, że gąsienice żyjące tysiącami na liściach rozmaitych roślin



G Ó R A L.

dla przechowania jajka tak sztucznie zwijają listki na drzewach. O owadach zwanych grabarzami wiadomo powszechnie, że sobie pomagają wzajemnie, aby zagrzebać ściernwo, w którym mają składać swoje jajka.

W ogólności każdy rys z życia tych różnorodnych

troskliwie matka przenosi w inne miejsce, gdy im tutaj zabraknie pożywienia. Czy ląd czy woda przegradza, nic jej nie wstrzyma w wykonaniu tego macierzyńskiego obowiązku. A owady, z których jaj wykluwają się robaki żyjące w wodzie, nie mogą od razu w wodzie jaj swoich

znosić, zawieszają je na roślinach nadbrzeżnych lub listkach wierzb, tak właśnie, że wychodzące z nich robaki potrzebują tylko oderwać się odlistka, aby prosto wpaść w wodę.

Szczupłość miejsca nie pozwala nam wyliczyć tu więcej przykładów tego rodzaju, ale i te, któreśmy przytoczyli, starczą zapewne za dowód, że wszystkie istoty świata zwierzęcego z równą troskliwością starają się zapobiedz, aby ich młode nie ginęły marnie, że przysposabiają co mogą, aby zaraz od przyjścia na świat znajdowały z łatwością środki do zaspokojenia pierwszych swoich potrzeb.

Wiadomości nasze o wielu zwierzętach niższego rzędu są stopniowo coraz bardziej ograniczone, ale nie podlega wątpliwości, że także każde z nich według niezmiennych prawideł, i z równą jak inne troskliwością, stara się o zabezpieczenie przyszłości swego potomstwa, bo nie ma przykładu, aby przyroda, ta najczulsza wszystkich istot matka, upośledziła którykolwiek twór, należący do wielkiej rodziny istot żyjących.

ST. NOWIŃSKI.

G Ó R A L.

Mém łozem granity,
A pościelą chmury;
Niemi ja spowity
Patrzę na świat z góry.

Słońce jak ognisko
Cały dzień mi płonie,
A gwiazdy tak blisko —
Tylko sięgać po nie!

I tyle w przestworzu
Światła dookoła,
Że się w niem jak w morzu
Kąpie myśl wesoła.

Toż i nasze życie
Jasne — jak na dłoni;
Nic się z niego skrycie
W mętach nie uroni...

Bo się prawdą żyje
A wolnością dycha —
I choć grom zawyje,
Dusza się uśmiecha!

Mówią, że gdzieś w świecie
Są rozkoszne kraje: —
Toż Bóg i nam przecie
Różne skarby daje.

Mamy lasy, zdroje,
Zwierzęta rozliczne,
I hoże dziewoje,
I piosenki śliczne.

Śród skalnych zaperek
Nie wiemy co trwoga;
Strzelba i toporek
Wystarczą na wroga.

I gdy nas w żołnierze
Idą brać siepacze,
Czart ich nie ustrzeże —
Każdy krwią zapłacze.

Lecz gdy mać zawoła:
„Obrony mi trzeba!“
Spadniemy z gór czoła
Jak pioruny z nieba —

I biada ci wtedy
Wszechsłowiński chanie!
Ach kiedyż nam, kiedy,
Dasz tę radość Panie?!

FR. WALIGÓRSKI.

WSPOMNIENIA WYGNANCA.

....., Kiedy z tłumoczkim na plecach, błakając się od wsi do wsi, od kurhanu do kurhanu, zaszedłem do siedziby ludzkiej,—to we dworach przyjmowano mnie z nieufnością jako włóczęgę; a poznawszy cel wędrówki, litowano się nad obłędem człowieka, któren dobrowolnie skazuje siebie na trudy i niewygody pieszej podróży, byle zapisać nic nie znaczącą piosnkę, usłyszeć bajkę nie wiele wartą, lub się dowiedzieć: kogo kryje mogiła?... W małych dworach, witany serdeczniej, spotykałem się jednak z ostrą krytyką mych czynności, i nie raz wypadło usłyszeć naganę, że napróżno czas tracę wałęsając się pomiędzy chłopstwem, którego szukać nie potrzeba, bo jest wszędzie!... W karczmie, żyd arendarz wyśmiał przybysza, i patrzył nań z politowaniem. Praktyczny izraelita rozumiał poszukiwania, ale tylko ze świdrem i rydlami, by wydobyć skarby, które płonąc niebieskim ognikiem kryją się we wnętrzu ziemi za zbliżeniem się człowieka... Żyd śmiał się z mrzonek młodzieńczych... a nie wiedział o tem, że wiara w skarby robiła go również marzycielem!.. poezja Ukrainy i jego podbijała swym urokiem.

O, tak! skarby całe znajdowałem w ziemi mogił, na polach wśród kurhanów; skarby, których mi nikt nie wydrze, bo stały się własnością mej duszy, weszły w serce i w niem zostaną na zawsze!...

Ubogi lud wioskowy, prędzej aniżeli oświeceni rozumiał, że nienapróżno pieszy wędrowiec przemierza stepy, nachyla ucho do śpiewu wiatru na mogiłach, słucha słów starców ciekawie, śpiewu młodzi wiejskiej, i troskliwie wypytuje o czasach dawno minionych... Z pewną niewiarą, ale i z zajęciem zarazem patrzył lud na wędrowca, który z dalekiego miasta szedł pomiędzy wsie ubogie; pańskie suknie przemieniał na siermięgę, konie i pojazd na kij podróży. Duchowa łączność zachodziła pomiędzy ludem i tym, który chciał go poznać. Tu skarbu właściciel wpuszczał do siebie proszącego, w duszę mu patrzył... a w miarę jak dostrzegał w nim miłość i chęć zacząć, garść po garści rzucał złoto w sakwy ubogiego z przecuciową pewnością, że ta mała cząstka jego własności, w godne przeszedłszy ręce, nie będzie na złe użyta.

Od przeszłości dzieli nas mniej, aniżeli mniemamy: u źródła jesteśmy tak blisko, że jedno zchylenie się, a zacerpniemy tej wody ożywczej, która zchorzałym powróci dawniejsze siły!... Uczeni, poeci, artyści! gdy przeszłość z grobu chcecie wydobyć, dać nam obraz wieków minionych—rzućcie mury miast wielkich, nie wstępujcie do zamków i pałaców!... na wsie, pomiędzy lud, do ubogiej wnijdźcie chaty! Tu żaden z rysów przeszłości nie zginął, wieki

przeszły bez śladu, jak wichry po licach przejrzystych wody... tu ocalało wszystko!

Oto po całodziennej wędrówce pieszo, stałem u wrót wiejskiej chaty. Rodzina zasiadła kołem do wieczerzy. Ociemniały dziadek na miejscu poczesnym; przy nim synowie i córki, czeladź domowa u wspólnego stołu; złotowłose wnuczęta igrają u nóg rodziców, niemowlę na łonie matki wyciąga ku niej drobne swe rączki, uśmiechem rozaniela oblicza wszystkich!... Czujny pies daje znać o przybyciu obcego... na spotkanie wybiega młode dziewczę i strudzonego wiedzie do ojców; godownicy witają przybysza słowem przyjaźnym, sadowią u stołu, prosząc na dary boże...

Czyliż inaczej mogło być przed lat tysiędem? Czyliż ci ludzie, wzięwszy ciała po ojcach, nie wzięli ich serc i duszy? Przechowawszy cnoty naddziadów, czyliż wiernie nie uchwaliłi wszystkiego?... Spojrz na tę chatę! Ona jak feniks z własnych powstaje popiołów, zawsze jednaka, niezmiennie ta sama! Ten strój ludu niewymyślny, prosty a wygodny... pradziad go takim widział na pradziadku, a ten na praszczurze... Tak jest! Lud nasz najwierniej przechował wieki minione, on tylko dać nam może obraz czasów dawno minionych, on posiada klucze tajemnic dziejowych, i kto ludu nie zna, nie zrozumie historii!

Miało się ku zachodowi słońca. Z wysokiej mogiły, na której wypoczywałem po całodziennej wędrówce, oko obejmowało widok przestronny; serce i dusza widziały więcej jeszcze! Na grobowiskach Ukrainy dumałem o świętej przeszłości mojej ojczyzny. Jako sen przeszło wszystko! grobu okryło się ciszą...

„I tęskno, smutno, jak gdy szczęście minie,

I tęskno, smutno, w bujnej Ukrainie!...“

Czem byliśmy, czem jesteśmy, a co gotuje nam dzień jutrzejszy!... Co nas zgubiło? O, smutno pomyśleć... Ty wielki Boże Ukrainy! czy na zagładę zostawiłeś nas wieczystą! W którymże pokoleniu dojdziemy do obiecanej ziemi wolności? Wyprowadź szczęsne prawniki; nas złóż do grobu, bo ciężko żyć w niewoli!

Leci sokół nad mogiłą. Sokole! czy nie wypatrzyłeś na niebie naszej przyszłości? Wieje wiatr od morza... Bujny wietrze! czy nie przynosisz nam dołę-wolę?... Senno, mogilno w Ukrainie! nic nie przerywa grobów ciszy — pójdźmy!

W milczeniu zszedłem z mogiły, a wspomnieniem wywołane myśli już mnie odstać nie chciały. Ocknąłem

się wówczas, gdy step zakryły przedemną wyniosłe brzegi jaru, w którym się znajdowałem.

Dziwnie swojski przedstawił mi się widok, jakbym go znał kiedy, jak gdybym go niedawno opuścił!...

W jarze szumiała malutka rzeczulka, przelewając się po granitach, kilka olch powiewały smętnie gałęziami, jakby mię witając. Tam dalej parę krów pasących się na trawie, studnia z żurawiem skrzypiącym, z za wiszniku, niska strzecha z gniazdem bocianiem... Jakież to wspomnienie budzi we mnie?

Nie bez drzenia zbliżam się do zagrody. Przed chatą siwobrody starzec ogląda pług, który znać dopiero z pola powrócił; dźwięczny jakiś głosik spiewa tęskną dumkę.

— Sława!

— Wo wiky!

Podnosi oczy, wpatruje się we mnie... Obadwa stanęliśmy.

Stary poznał mię pierwszy.

— Zorjan! — wykrzyknął.

To jedno słowo wróciło mi pamięć przeszłości. Mały sierota, przed laty dwunastu, znalazłem przytułek u staro Artema, którego też powitałem szczerze jak osobę mi drogą.

— Didu! — zawołałem łez nie mogąc powstrzymać — toście wy mnie poznali!

— Jakżebym poznać nie miał, choć to niejeden rok minął. Cóż cię tu do nas przyniosło. Czy nie nowa bieda?...

— Nie Artemie. Przyszedłem... Ale pozwólcie mi się raz jeszcze uściskać! A Makryna?...

Stary zbladł; łzę i westchnienie, cisnące się gwałtownie, powstrzymał i rzekł, wskazując na wzgórek:

— Tam pod krzyżem.

Zamilkliśmy. Po chwili zapytał Artem:

— Cóż się z tobą dzieje? Wyrosłeś na kozaka... a jakże ci na świecie?

— Jak zwyczajnie! — odpowiedziałem — Bóg łaskaw, nie zapomniał o sierocie.

— Nad syrotoju Boh z kałytoju. Ale z drogi możebyś się posilił. Halu! A chodźno tu, doniu.

— Ja oś de, didusiu! — ozwał się tuż za mną jakiś głosik. Obejrzałem się. Przy mnie stało zapłnione dziewczę, niebieskie oczy mając opuszczone w ziemię, a maluchną rączką igrała z jasną kosą.

Omal nie oszalałem z radości, i Boże mi przebac! Wpierw nim pomyśleć mogłem, co czynię: skoczyłem do dziewczyny, ująłem w pól, i na koralowych ustach wycisnąłem tak gorący pocałunek, jak serdecznymi były słowa:

— Halu serdeczna! Czyś ty mię nie zapomniała?

Chwila zapomnienia przeszła. Wypuściłem ją z ramion, rumieniec umalował nam twarze, i staliśmy oboje zakłopotani, nie śmiejąc spojrzeć na siebie i jedynego świadka Artema.

Starego bawił ten kłopot dwojga młodych; uśmiechał się patrząc na nas; aż Hala nie widząc innej drogi wyjścia, rzuciła się dziadkowi na szyję, chowając swą zapłonioną główkę.

— Dity! dity! — jeszcze śmiał się stary Artem; ale ja przyszedłem już w zupełności do siebie, i kilkoma słowami wytłumaczyłem mój postępek.

Hala uśmiechnęła się słodko, i powiedziawszy, że również znajduje mnie zmienionym, zarumieniła się znowu... A było jej z tem tak cudownie, że od pierwszej chwili byłem już oczarowany przez towarzyszkę mojego dzieciństwa.

Nie upłynęło godziny, a byłem jak dawny domowy Artema. Stary nazywał mię synem, Hala słodkiem „ty“ darzyła.

Gwiazdy zeszły na niebo, wietrzyk z wolna kołysał trawy i kwiaty, na błękitie nie było żadnej chmurki. Upojony szczęściem, znalazłszy się w gronie tych, którzy mi byli drogimi, w duszy mej po wszystkie czasy zapisałem wspomnienie ukraińskiego wieczora, jednego z tych, które tak cudnie opisał genialny Szewceńko.

„Sadok wysznewyj koło chaty,

Chruszczi nad wyszniamy hudut’,

Płuhatari z płuhamy jdut’;

Spiwajuczcy idut’ diwczata,

A materi weczerať zdut’.

Semja weczeria koło chaty.

Weczirnia zirońka wstaje,

Doczka weczerať podaje,

A maty choce nauczaty,

Tak sołowejko ne daje.

Pokłała maty koło chaty

Małenkych ditoczok svojich,

Sama zasnuła koło jich.

Zatychło vse... tilko diwczata,

Ta sołowejko ne zatych. *)“

*) Podaję tłumaczenie tego pięknego wiersza, na jakie zdobyć się mogłem.

W koło chaty sad wiśniowy,
Chruszczce brzęczą nad wiśniami.
Z pola wraca pług do domu,
Dziewki idą ze śpiewami,
Matka czeka cór z wieczera.

Wieczerają koło chaty.
Gwiazdy wschodzą na błękitie.
Córka znosi kar'm pożywną,
Matka dawać chce nauki,
Lecz przeszkadza śpiew słowika.

Koło chaty, czuła matka,
Do snu kładzie drobne dziatki,
I zasypia sama przy nich.
Milknie wszystko — tylko dźwięczy
Śpiew słowika, głos dziewczęcy.

Magicznej potęgi jest słowo wieszczki Ukrainy. Ileżto razy odczytując włościanom jego utwory widziałem łzy w oczach dzieci i starców! ile westchnień uleciało z ucisnionej piersi, i cichych modlitw do Boga!

Hala płakała z rozrzewnienia, słuchając wierszów poety; stary Artem milczał poważnie, a gdy skończył, uściaskał mnie serdecznie, dziękując za radość, którą mu sprawiłem. Po królewsku nagrodzono mię w wieśniaczej chacie. Toż serce oddałem łaskawym... i ubożuchne przyjęło szczerze.

Całą noc marzyłem o roskoszach raj. Do snu kołysało mnie błogosławieństwo Artema, a jak rybitwa unosiło się nademną jaśniejące spojrzanie Hali.

Słońce już wzeszło kiedym się obudził. Step oddychał pełnią życia. Nie chcąc przerywać modlitwy Artemowi, poszedłem do wisznika. Tu po krótkiej chwili spotkałem Halę. Tak zarumieniła się na mój widok, że nie wiedziałem: ona czy wiśnie bardziej różowe?...

Od pozdrowienia prędko przeszliśmy do rozmowy, która trwałaby Bóg wie jak długo, gdyby jej nie przerwał stary Artem, żądając u młodej gosposi śniadania.

Dnie przebyte w futorze Artema były jedynie szcze-

śliwemi w mem życiu. Przelotną błysnęły chwilką, i tylko wspomnienie zostało mi po nich!

Ze drzeniem myślałem o rozstaniu się z tymi, których ukochało serce. Artem... Hala... A jednak zostać tu nie mogę, muszę ich porzucić!...



— Hala! gdy ztąd odejdę, czy wspomnisz kiedy o mnie? (str. 419).

i stanęła jak lija smętna, a drobna łezka szklila się w jej oku.

Nie wiem jak ręka jej znalazła się w mem ręku — drżąc; smutnie patrzyliśmy na siebie łzawemi oczyma.

— Hala! — rzekłem po chwili — gdy ztąd odejdę, czy wspomnisz kiedy o mnie?

Siedzieliśmy razem pod pochylą wierzbą, gdy jej powiedziałem o tem. Zbladła i milczała chwilę. Wreszcie westchnawszy uśmiechnęła się i potrząsając jasną główką, rzekła:

— To nie prawda! Pocobyś miał odchodzić. Czy ci tu źle z nami?

— O, jak dobrze! — zawołałem, rękę jej ująwszy — Wieki zostać z wami... ach, gdyby można tylko!

— Dla czegoż nie można? Dziaduś przecie nie bronią...

Cudowne dziewczę! Jej naiwność krwa-wiła mi serce.

— Muszę was opuścić, Hala — rzekłem z westchnieniem.

— Koniecznie? — drżąc zapytała.

— Koniecznie.

— Będzie mi smutno — rzekła

Spojrzała wzrokiem, którego nie opiszę; głośnym wybuchnąwszy płaczem rzuciła mi się na szyję... Była moją! A Bóg nie chciał naszego połączenia...

W młode serca miłość nie wzdyga się wchodzić, dusze czyste odrazu przyjmują święte uczucie i stawiają mu czci ołtarze. Pokochałem Halę miłością pierwszą i ostatnią... Od niej ukochany wzajem, mogłem, powinienem być pozostać! O, jeżeli nad szczęście nasze nie ma nic świętszego, dlaczegoż tak często wyrzekamy się go z pośpiechem?... a wyrzekłszy się nieba, nie mamy mocy uszczęśliwić innych i cierpiemy wraz z nimi? Bolesne przeznaczenie!

Przeczuwając, że szczęście me pozostawiam tu pod ubogą strzechą, długo ociągałem się z wyjazdem. Serce i obowiązek walczyły ze sobą. Pierwsze zostać, drugie iść kazało.

Jam głuszył w sobie wołanie serca... Grzeszny! zapomnieć chciałem o powinności, i żyłem! Bóg mi winę przebaczy; to biedne serce za chwilę rokoszy długo cierpiało!

Sprawa podatkowa z urzędem kazała Artemowi pojechać do miasta. Towarzyszyłem mu, jakkolwiek żal mi było każdej chwili spędzonej bez mojej jasnowłosej.

Ułatwiwszy się z interesami, wieczorem wracaliśmy do domu. Wóz wypłynął na otwarte morze stepowe, ozłoczone promieniami zachodzącego słońca.

Stary Artem przystanął zapatrzony przed siebie.

Majestatyczny widok roztaczał się przed nami. Okiem nieobjętą równinę zaległa cisza wieczoru uroczą, wysokie mogiły usłały sobą przestrzeń wierzchami kąpiąc się w promieniach słonecznych; jak koszem przejrzystym okryta była ziemia szafirem, którego środek, śmiałem skrzydłem, przecinał lecący orzeł. Ukraino, wiecznie piękna! o jakże cię łatwo ukochać.

— Ot i step rozłohyj, ot i mogiły kozactwa! — rzekł Artem po chwili — Pomódlmy się synu! bo tu Bóg najprędzej usłyszysz.

Cichą była modlitwa stepowa. Nie przerwał jej powiew wiatru, łagodnie nachylający czoła traw i kwiatów, nie przerwał świergot ptactwa, udającego się na spoczynek. Modliliśmy się. Ja błagałem Boga o szczęście—dla niej.

— Mogiły — rzekł po skończeniu modlitwy Artem — niezabutnia sława Ukrainy... Ot nasze dobro całe. Weźmie wróg ziemię i dostatek wszelki—mogiły zostaną... okuje w łańcuchy — będzie jasne nad nami niebo... Zostanie wiatr bujny, który nam wolę przyniesie! Na pohybel wrogów Ukrainy, nie zginie jej sława wieczna!

— Tak kozacze! — mówił dalej, zwracając się do mnie — siwa głowa nie powie nieprawdy. W mogiłach sława, w mogiłach dobro nasze, którego nam świat nie zabierze. Dnęczyli mię, męczyli w żołdatkach, gnali na pustynie... a wróciłem na step — żyję! i tam żaden z nich nie zaznał rokoszy takiej, jak ja, gdy patrzę na mogilniki. Lubię,

synu, mogiły bardziej niż resztę świata! bo po za Ukrainą i świat nie wart wiele. Widziałem go od morza do morza... Lepiej na szerokim stepie!

— O, lepiej! — odwodziłem mimowoli.

— Widzisz jak tu na świat Bóg ogromnie patrzy? U tych mogił i ja odpuszczam wrogom moją ciężką krzywdę...

Westchnął i otarł łzę z oczu. I po mojej twarzy stoczyła się łza cicha, a chociaż skwapliwie starałem się ją ukryć, stary dostrzegł wzruszenie i silnie ujął mię za rękę.

— Synu! — rzekł głosem drżącym — wzięłeś mi serce, boś zapłakał ze mną, chociaż nie wiesz, co boli starego! Spoczniemy tu na mogile!... Żurawie lecą łańcuchem. Tak leciały przed nami, tak i po nas polecą... No, spojrzysz weselej! bo i mnie robi się markotnie — Wiesz co o tych mogiłach?

— Nie wiem — odrzekłem, wzrokiem dopowiadając reszty.

— Sławne, i sławnych kryją rycerzy! Ot ta wysoka mogiła na prawo, to bisurmańska. Usypali ją nad swoim chanem, który tu śmierć znalazł wraz ze swoimi. Zakrwawił się step od kraju do kraju, z kości można było górę ułożyć... krwawo zemścili się chrześcijanie!

— Tamta... to nasza. Jakby z niej wstało kozactwo, to nie jedna głowa pokłoniłaby się im do nóg, i może byłoby lepiej dobrym ludziom. Ta rozkopana, moskale w niej skarbów szukali. Karę znaleźli przekłęci! zaraza wyszła z mogiły, i powymierali wszyscy!... Kozactwo i po śmierci dobrze swego dobra strzeże, nie odda go wrogom! A o Prokopowej słyszałeś? Wielki był rycerz! Cztery razy chodził do Krymu i po morzu pływał. Z pod Carogrodu przywieźli sławne ciało i tu pogrzebli go w święconej ziemi, wieczny pokój jego wielkiej duszy! A ta mogiła... a tamta... a te wszystkie! Jużby mi życia nie starczyło, gdyby powiedzieć o każdej. Inaczej było dawniej, lepiej było! Ale Bóg pokarał za ciężkie grzechy... Teraz nie ma już komu sypać mogiły—dość zwyczajnego grobu!

Osmutniały stare oczy; Artem westchnął, i własnym oddany myślom zaśpiewał tęskną pieśń stepową:

„Czy ty witre teje znajesz,
Szczo trawoju połyniajesz,
Ta trawoju wysokoju,
Nad mohyłow nemałoju?
A w mohyli kozak leżył
Hostru szablu w rukach derżył.
Szabla krow worożu pyła,
U mohyli zarzawiła.“

Chodźmy, kozacze! Nie zamęczajmy mogilnego spokoju. Wieczny upokij prawednym! wieczna sława pokijnym! — Chodźmy! — Hej woły, hej!

O dobrą staję od futoru, u mogilnego krzyża, ujrzałem postać biegnącą na nasze spotkanie. Była to Hala.

Nóżką lekką ledwie dotykała ziemi, zdając się płynąć roz-wiewającemi się końcami swych bynd wzorzystych.

Cała zapłoniona, uśmiechnięta szczęściem, rzuciła się na szyję Artema; a mnie posłała jedno z tych spojrzeń, które nie zapominają się nigdy.

Dziadek z czułością przycisnął swą wnuczkę do starej piersi; mnie silniej uderzyło serce, gdy wzięwszy się za ręce, poszliśmy przodem ku domowi.

Do rajy nie wiedzie droga bardziej rokoszna! anio-łów pienia nie byłyby mi miłsze nad jej głosik dźwięczny! Gdy się rozstanę z tem życiem, wierzę, iż u bram za-świata spotka mnie moja luba, i jaśniejąca zaprowadzi do Boga, jako wówczas wiodła w progi ojczyste!

Wspominać o szczęściu minionem jestto zwiększać obecne niedole... a z jakąż rozkoszą targamy wnętrza na-sze, szukając w nich — chwili wspomnienia!

Bóg jest sprawiedliwym; ale jego sprawiedliwość bywa niekiedy okropna dla śmiertelnych!

Wypogadzał się błękit naszego życia... a oto okryły go chmury, grom z nich wypadł, i zniszczył niejedno ciche szczęście.

Pamiętam, była noc cicha i tą ciszą wymowna. Piers Artema oddychała mocno, oko świeciło dzikim ogniem, zaciskały się pięście, bo opowiadał o swej straszliwej krzywdzie.

Mnie grozą przejmowały jego słowa; a toczące się po licu Hali łzy padały mi na serce jak rozżarzone węgle. Okropną była opowieść Artema.

— I na moje obejście weszło słońce — mówił stary ciężko westchnąwszy. Po wielu trudach i mokołach, po cierpieniach rozlicznych Bóg mi dał zakosztować szczęścia. Moją jedynaczkę Makrynę wydałem za mąż za parobka, którego sama wybrała, a ja pokochałem szczerze. Dobytku Bogu dzięki, było ile potrzeba; na chlebie i zapasowym groszu w kalecie nie zbywało. Sądziłem, że wśród szczę-ścia dożyję starego wieku, zimą wzięwszy to, czego mi nie dały lato i jesień mego życia. Jeszcze raz otwarło mi się niebo, gdy wzięłem na rękę ot tę małą sierotkę, Halę, i przycisnąłem do starej piersi. Troje nas z tą maleńką, żyliśmy lat kilka, jak u Boga w niebie. Choć czasu niemało, a i ty Zorjanie pamiętasz, gdyś był w tym futorze... Otóż synu niezawsze można wierzyć szczęściu! Ono śpi na nie-doli. Ledwie się ruszy, budzi ją i ginie z ręki mocniejszego.

— Wśród szczęścia nikt z nas o złej godzinie nie po-myślał, a ona już na nas czekała.

Niejedno złe nawiedziło naszą Ukrainę. Były wojny, głód, pomór; najeżdżali Turcy i Tatarzy, Lach dokuczał... ale najcięższa dola przyszła nam z Moskala. Wierście staremu — najcięższa! Gdzie kozactwo i nasze swobody? Zkąd się wzięła nędza, śmierć z głodu i cięższa od niej niewola? Zkąd krzywda najkrwawsza i duszy zatrata?... Z Moskali! z przeklętych!

Ciebie już nie było w futorze, gdy go tu szatan przy-prowadził z rotą. Przekłęty! często on jeździł pod moją zagrodę, na strzemiona wspinał się i patrzył; do wrót do-jeżdżał n e h y d n y!... Jam go, nieszczęsny, zaprosił do chaty, posadził u stołu, chlebem częstując i solą błahoro-dnego majora... Żmiję wygrzałem przy piersi, czarta wpuściłem do spokojnego domu!!

W oko mu wpadła moja Makryna. Stan giętki i gład-kie liczko znalazły w nim upodobanie, a duszę chciał za-tracić... piekło na niego wieczyste! pioruny gniewu bo-żego! — Nie patrz się teraz na mnie, bo przeżyłem moją krzywdę, i dziś karmię nią stare serce! To dziecko sza-tana, moskał ohydny, ośmielił się... krwią mi serce za-biega! — ośmielił się, własnemu jej mężowi... Zdawało mu się widzisz, że to jak u kobiet moskiewek!... ośmielił się takie wyrzec słowo, że go zebrał z ziemi wraz z zę-bami, które mu pięść Prokopa wytłukła z plugawej jego gęby! — O, czemuż nie zapadła się wówczas ziemia pod nami — lżej byłoby w jej wnętrzu!

Dzisiaj lat temu dwanaście, gdy w noc dla mnie naj-straszniejszą, spokojną moją chatę naszli Moskale, pod przewodem szatana-majora.

Dwóch nas było w chacie bezbronych — a siedmiu położyliśmy trupem... ale siła przemogła! Powrozem zwią-zany, patrzeć musiałem jak pod pałkami konał Prokop. Jęknął raz tylko duszę oddając, i moją zabrał siłę; cie-mno mi się zrobiło w oczach, pusto w piersi... Powiniennem był umrzeć; ale Bóg nie chciał jeszcze mojej śmierci. Otworzywszy oczy ujrzałem majora, stojącego na okrwawionym trupie Prokopa; pianę toczył z ust skrwawionych i ochryplym głosem krzyczał na żołdatów:

— Weźcie ją sukę! a szczenię — precz!

Moskale rzucili się na Makrynę; szarpiąc Nielitości-wie, wydarli dziecię płaczące.

Ujrzałem to, głos jej słyszałem rozpaczliwy i—wolne miałem ręce! Ojciec, rzuciłem się na ratunek córki, która ciągniona przez żołdaków wołała:

— Ratuj! tam dziecko...

Lew przebudził się we mnie. Pięciami przebiłem szeregi żołdactwa; nie wiedząc co czynię wyrwałem pa-łasz od jednego z siepaczków, i — zabiłem ją! zabiłem moją córkę!...

Ty nie obwiniaj mnie skrycie, bo nie byłeś ojcem, który nie widzi ratunku dla dziecka!... Ty nie przeklinaj starca, bo uratowałem ci matkę od hańby i sromoty!... Dzieci moje! nie przeklinajcie mnie biednego! — I zalał się gorzkimi łzami.

Rzuciliśmy się do płaczącego.

Miałem krwią oblane serce. Opłukały go łzy, które leliśmy społem — ja, Artem i Hala.

Opowieść krwawego dramatu powtórzyła się w śnie moim przerywanym gorączkowo. Widziałem śmierć Pro-

kopa i Makryny, dziką twarz majora i rozpasanie moskiewskiej tłuszczy. Kazano mi sądzić winnych. Wydałem wyrok, który grozą przejął wszystkich. Straszliwie pomściłem śmierć Prokopa i Makryny!

W tej chwili dotknięcie obcej ręki przebudziło mnie ze snu. Otworzyłem oczy. Przedemną stał wysłaniec, powołujący mnie do przerwanej na chwilę działalności—anioł zwycięstwa lub śmierci...

Wybiła godzina przeznaczeń. Żegnaj mi cichy spokój, nadziejo szczęścia żegnaj!

W milczeniu, drżąc cały zbliżyłem się do jej łoża. Anioł snu ukołysał ją lekko do spoczynku; jasne włosy były węzłowiem; ręce złożyła wstydliwie na pierś marmurową, anielski uśmiech igra na jej ustach, które szepczą... moje imię! — O, ty mój skarbie najdroższy, cudowna moja, żegnaj!—Dotknąłem się jej ust różanych i wyszedłem śpiesznie. Gdyby się obudziła, może nie miałbym odwagi opuścić ją w tej chwili!

Kilkoma słowy wytłumaczyłem Artemowi znaczenie niespodziewanego odjazdu.

Zrozumiał mnie; przycisnął do serca, i udzieliwszy błogosławieństwa, rzekł:

— Idź, i powracaj do nas prędzej!

Przechodząc, raz jeszcze spojrzałem na śpiącą. Widziałem ją raz ostatni...

Powstanie ukraińskie — złota hramota i wolność obywatelska ludu — to jedno! W miłości poczęte, znalazło swych apostołów, którzy kochając skonali na krzyżu z słowami: „Odpuść, bo nie wiedzą, co czynią.“

Na zbrodnicze głowy spadnie krew pomordowanych—lud ich śmierci nie winien! Krew ta będzie posiewem wolności. Na Ukrainie przelaną została, nad Ukrainą też pierwszą zejdzie słońce wolności i szczęścia!

Dwa lata przesiedziawszy w więzieniu moskiewskim, wy dobyłem się zeń na to tylko, by świadcząc prawdzie, bronić jej od oszczerstw i fałszów.

Ranny kilkakrotnie, ścigany przez wrogów, uchodziłem przez stepy, szukając ratunku, lub śmierci.—Drogę można było tylko odbywać w nocy; dobry czy zły duch wiódł mnie w stronę, gdzie zostawiłem szczęście, a zastałem...

Trzecie kury piały, gdy się dowlókl do futuru Artema.

Mimo późnej godziny świeciło się w chacie... Przejęła mnie trwoga i serce zadrzało straszliwym przeczuciem.

Przebiegam podwórze, uchyliłem drzwi świetlicy. Naprzeciw tlejącej się głowni, Artem siedział pochylony, suchem okiem wpatrując się w ognia połyski.

Rzuciłem się ku niemu z krzykiem:

— Hala?...

Stary jęknął, i wskazawszy ręką na okno wyszepnął:

— Tam...

Zrozumiałem wszystko!...

Sto razy powinienem był umrzeć— a śmierć stroniła odemnie; na grobie mego szczęścia mogli mnie schwytać, a nie wzbronili mi go oblewać łzami.

Nie wiem po ilu dniach przyszli ludzie i pogrzebali Artema, którego przy mnie zasnął na grobie Hali.

Rzuciłem pustą chatę, udając się w świat. Ze znamięm nieszczęścia na czole przeszedłem wszystkie warty, tęsknotę i boleść zawiozłem w obce kraje...

Ludzie! nie litujcie się nademną, bo mam świetlanego ducha, który czeka na mnie w raju.

O prędzej z tem życiem! prędzej!...

Zorjan.

K R O N I K A.

Z kraju.

(Piśmiennictwo). Śród krzewiących się u nas od jakiegoś czasu bardzo bujnie chwastów politycznych zeszedł raz znowu kłos pożyteczny ze zdrowym ziarnem. Pan Julian Horoszkiewicz, znany z kilku bardzo dobrych prac popularnych, wydał temi dniami drugą część swoich „Listów o rzeczach publicznych dla ludu.“ Pierwsza część, wydana przed kilkoma laty, miała na celu obznajomienie ludu z kardynalnemi prawami człowieka, i wywiązała się z tego zadania bardzo po chlebnie; terazniejsza druga część obejmuje skreśloną treściwie a jasno historię rozwoju narodu polskiego pod względem socyalnym i politycznym. Autor przestrzegając sumiennie prawdy

historycznej, przedstawia trzeźwo i bez uprzedzenia wszystkie stosunki społeczne dawnej Polski, wykrywa ich wadliwości i zalety, wykazuje w wielu względach wyższość polskiego prawodawstwa w porównaniu z innemi narodami, i podaje w końcu czytelnikom swoim bardzo praktyczne i zdrowe rady, odnoszące się do dzisiejszego położenia kraju. Jestto w całym znaczeniu praca uczciwa i pożyteczna, i dziękujemy za nią autorowi w imieniu wszystkich tych, którzy pragną szczerze oświaty naszego ludu.

Z innych dzielnic Polski także nie wiele mamy do zapisanania nowin literackich. W Warszawie żywi się literatura prawie wyłącznie dziennikami, a ruch książkowy ustał niemal zupełnie; maleńkie broszury, pojawiające się od czasu do cza-

su są po większej części tylko odbitkami z pism peryodycznych. Z dzieł większych zapowiedziany jest teraz: Kurs kodexu cywilnego Jana Wołowskiego, byłego dziekana wydziału prawniczego, uzupełniony przez Feliksa Jeziorańskiego. Opuszczyły także prasę w tych dniach „Bajki“ Mikorskiego, między którymi jest kilka wcale udatnych, chociaż całość w niejednym względzie pozostawia wiele do życzenia.

Nakoniec wyszła jeszcze w Warszawie w najnowszym czasie powieść F. S. Dmóchowskiego pod tytułem: „Pocziwość i praca“ czyli „Historia biednej sieroty.“

W Zurychu wyszło z druku w języku francuskim sprawozdanie szczegółowe z uroczystości z dnia 16 sierpnia, z ryciną pomnika wzniesionego w Rapperswyłu, z tekstem wszystkich mów mianych przy pomniku i podczas bankietu, oraz telegramów otrzymanych. Dochód przeznaczony jest na korzyść pomnika.

(Dziennikarstwo) Wspominaliśmy już raz, że na Szląsku pruskim zaczął wychodzić od nowego roku dziennik ludowy religijno-polityczny, pod tytułem „Zwiastun górnośląski“. Z dotychczasowych numerów przekonujemy się, że dążność tego pisma, którego głównym kierownikiem jest nauczyciel szkół ludowych p. Miarka, bardzo jest zacna i może się wielce przyczynić do rozbudzenia ducha narodowego w tej zarażonej mocno germanizmem części dawnej Polski. W ogóle wieje w nim duch szczeropolski, i dla tego należy się słusznie temu wydawnictwu jak najszczersze poparcie.

(Sztuki piękne) Dowiadujemy się, że p. Tępa zamierza wkrótce urządzić we Lwowie wystawę najświeższych utworów swoich.

— Znakomity malarz warszawski, p. Wojciech Gerson pracuje teraz nad obrazem większych rozmiarów, przedstawiającym króla Władysława Łokietka kryjącego się w lasach Ojcowa, a oprócz tego przygotował rysunki do ilustrowanego kalendarza toaletowego, który ma wyjść na rok 1869 z litografii p. M. Fajansa.

— W korespondencyach z Mnichowa znajdujemy bardzo pochlebną wzmiankę o młodym, wiele obiecującym malarzu z Poznańskiego, panu Łaszczyńskim, który kształcił się obecnie w Mnichowie, i w zeszłym roku otrzymał medal za antyki. Natomiast straciliśmy w tych czasach dwóch artystów malarzy, którzy zmarli za granicą, a mianowicie Zygmunta Lachowicza w Düsseldorfie, i Karola Oskara Rostowskiego w Mnichowie.

— Sztuka drzeworytnicza zaczyna rozwijać się we Lwowie coraz świetniej, a to dzięki staraniom bardzo utalentowanego drzeworytnika p. Krzyżanowskiego, który kształcił się w zakładzie drzeworytniczym p. Ungra w Warszawie, a teraz osiadł na dłuższy czas we Lwowie. Kilka bardzo pięknych prac tego artysty zamieściła już „Strzecha“, i każdy rzetelny znawca przyzna, że mogą one iść w porównanie z najlepszymi tego rodzaju utworami za granicą. Byłoby rzeczą wielce pożądaną, żeby p. Krzyżanowski zechciał osiąść stale w naszym mieście i urządzić zakład drzeworytniczy, który pod jego zdolnym kierunkiem wydałby niezawodnie z czasem bardzo świetne owoce.

— P. J. Guniewicz, znany nasz kompozytor i dyrektor Muzy krakowskiej, przybył do Lwowa, ażeby przedstawić w koncercie świeży swój utwór muzyczny.

W Krakowie dawał p. Władysław Górski w ostatni dzień września koncert na skrzypcach, i doznał bardzo zaszczytnego przyjęcia.

(Wystawa owoców, jako też płodów pszczelnictwa i jedwabnictwa krajowego), urządzona przez krakowskie Towarzystwo sadownicze, otwartą została w Krakowie z końcem września.

Ze świata.

(Potęga sztuki). W stolicy jednego z księstw niemieckich żyło przed laty młode małżeństwo, które przytaczano często jako przykład nieszczęśliwych związków, zawieranych pospiesznie ze skłonności. Ci młodzi ludzie, pokochawszy się jak to mówią na pierwsze wejrzenie, zaślubili się po krótkiej znajomości; ale zaledwie przeżyli parę lat ze sobą, mogło dostrzedz każde cokolwiek ciekawsze oko, że jakiś wstręt zwiększający się stopniowo rozdzielał coraz bardziej małżonków. A przecież oboje byli bardzo mili, z gruntu pocziwi i szlachetni ludzie, i tylko nie umieli nastroić się do owej harmonii, która jest głównym warunkiem szczęśliwego pożycia w małżeństwie.

Jadwiga, młoda żona, była jedynaczką zamożnych rodziców, pieszczoną od dzieciństwa przez wszystkich. Pełna dowcipu, powabna i żywa, wywierała ona wielki pociąg na każdego, kto się zbliżył do niej, sprawiała wszędzie jak najlepsze wrażenie, i wczesnie — nie wiedząc nawet o tem — doszła do tego, że w naiwnym swem przekonaniu uważała się za środkowy punkt świata, w którym się poruszała.

Że młody małżonek, olśniony od razu jej wdziękami, nie był w stanie uleczyć jej z tego urojenia, to łatwo zrozumieć. Byłto człek wesoly, pełen życia i najlepszego serca, ale przytem wszystkim wcale nie łatwy w pożyciu, gdyż podlegał niesłychanie szybkim zmianom usposobienia. Ta dziwaczna drażliwość, wywoływana lada czem, dawała się z początku uśmierzać jeszcze żartami młodej żony, ale razila ją przecież; i to był pierwszy żywioł zakłócający ich pożycie, gdy nastąpiła naturalna reakcja, idąca w ślad za każdą chwilową przesadą w uczuciu. Dziś ubóstwiana i noszona na rękę, nazajutrz witana obojętnie i za najmniejszą rzecz ostro karcona, czuła się Jadwiga obrażoną, rozczarowaną, napróżno tłumila w sobie jakąś niechęć, rodzącą się mimowolnie, i zaczynała skrycie zastanawiać się nad tem, czy też ów klejnot, jakim była dotąd w wyobrażeniu swoim dla wszystkich, znajduje się w rękach, któreby go ocenić umiały?

Jakoż powoli zaczęło się zakradać wzajemne niezadowolnienie; jedno oczekiwało od drugiego zrzeczenia się swoich drobnych narowów, a ponieważ zwykle najwięcej żąda się od tych, których się kocha, więc też stopniowo wzmagaly się wzajemne uroszczenia aż do najwyższego rozdrażnienia.

Obojgu małżonkom, a osobliwie młodej żonie, zbywało na sztuce i chęci panowania nad sobą, i o najmniejszy pozór słuszności staczano zacięte walki pełne wyrzutów i scen najprzykrzejszych. Stara to prawda, że ludzie przywiązują zawsze najmniejszą wagę do tych przykrości, które wyrządzają drugim,

gdy przeciwnie uważają za największe te, których sami doznają. Codzienne szpillkowe rany w życiu domowym są jak płatki śniegu, które padają wprawdzie pojedynczo, ale mogą zebrać się w lawinę, która zagrzebuje wszystko. Tak też stało się i tutaj. Z czasem wzniosła się nieprzełamana zaporą między tymi ludźmi, którzy w gruncie serca byli zacni i przywiązani do siebie i nieraz tęsknili za sobą, ale którzy tak dalece zatruili sobie życie, że w końcu przemogło pragnienie spokoju wszelkie względy, i myśl rozłączenia, poczęta najprzód w cichym życzeniu, wyraziła się później słowem, a nakoniec dojrzała w stałe postanowienie.

Oboje małżonkowie byli obrządku katolickiego, rozwód więc trudnym był do uzyskania, tem bardziej, że nie było żadnych prawnych powodów do niego. Postanowili więc rozłączyć się dobrowolnie, czego mianowicie domagała się koniecznie żona, rozdrażniona aż do namiętności, gdy przeciwnie mąż tylko z wahaniem przystał na to, i to pod warunkiem stanowczo postawionym, ażeby Jadwiga nie zmieniała miejsca pobytu. Powodem tego żądania było jedyne dziecię tego małżeństwa, sześciolatnia córeczka, którą ojciec nadzwyczajnie kochał. Biada każdemu dziecięciu, które wzrasta śród dusznej atmosfery zakłóconego spokoju domowego; bezbronne i bezsilne szuka ono zbawiennej podpory to z tej to z owej strony, a nigdzie jej nieznachodzi! I tutaj też stało się to dziecię od czasu, jak się rozbiło szczęście domowe, tylko przedmiotem wzajemnej zawiści pomiędzy rodzicami zamiast ściślejszego ich połączenia.

Córka miała zostawać pod opieką matki, ale jeden dzień w tygodniu, niedzielę, miała przebywać u ojca. Ażeby uczynić zadość temu warunkowi, nie powróciła Jadwiga, jak tego pragnęła, do swoich rodziców mieszkających na prowincyi, zatrzymała swoje dotychczasowe pomieszkanie, i wiodła życie ciche i odosobnione, ograniczając się tylko na towarzystwie kilku kobiet.

Spotkanie się małżonków w tak wielkim mieście mogło być tylko rzadkiem zrzędzeniem przypadku, i istotnie upłynął cały rok, a niezetknęli się osobiście ani razu. Ale chociaż się nie widzieli, myśleli przecież o sobie tém częściej, iż dziecię ich było ciągle żywym węzłem pomiędzy nimi. Dziewczętko, przywiązane z równą tkliwością do obojga rodziców, nie mogło pojąć tego, dlaczego nie znachodziła posłuchania jej ciągle powtarzana prośba, ażeby mameczka raz przecież towarzyszyła jej w owe rozkoszne niedziele do ojca. Po każdym takich odwiedzinach powracało dziecię do domu zachwycone czułością i dobrocią ojca, i niewinne jego opowiadania podsycaly tak tu jak i tam nieustające nigdy uczucie żalu i tęsknoty. Ale upór i obrażona miłość własna były zanadto jeszcze silne, szczególnie w namiętnem sercu Jadwigi, by którekolwiek z nich mogło pomyśleć o przebaczeniu, a tem mniej o zbliżeniu się nanowo.

W tym czasie przybyła do stolicy sławna śpiewaczka Schröder-Devrient, i występując tam w rolach gościnnych, obudzała nadzwyczajne zajęcie. Namówiona przez jedną z przyjaciółek swoich Jadwiga, postanowiła przerwać swoją samotność, ażeby słyszeć raz uwielbianą śpiewaczkę, i wybrała na to „Fidelia“ Beethovena, który miał być najświetniejszą rolą śpiewaczki. Dama, z którą Jadwiga miała iść do teatru, wymówiła się nad wieczorem jakąś przeszkodą, ale ofiarowała jej nato-

miast swój bilet, ażeby mogła postarać się o inną towarzyszkę. Już było późno, i Jadwiga zdecydowała się wziąć tylko córkę ze sobą.

Sala teatru opery była już przepelniona, gdy matka z dziećciem przesuwala się pomiędzy szeregi krzeseł, ażeby dostać się do miejsc swoich. Wreszcie znalazły swoje numera; dziewczynka usiadła, a Jadwiga przeproszała jeszcze swoją sąsiadkę po prawej stronie, która zmuszona była usunąć się nieco; ale gdy potem zajmąwszy także swoje miejsce obróciła się do swojej córki, jakże się przeraziła ujrawszy niespodzianie tuż obok niej swojego męża, który zdziwiony i nieruchomy patrzył na nią, przenikającym wzrokiem. Pierwszą jej myślą było, opuścić natychmiast teatr, ale wnet rozważyła, że nie podobna tego uczynić bez zwrócenia na siebie powszechnej uwagi. Już zaczęła się uwertura, wszystkie miejsca były zajęte, głęboka cisza panowała w sali; nie pozostawało przeto nic innego, jak tylko pozostać.

Drząc na całym ciele i co chwila mieniąc się na twarzy, siedziała biedna kobieta bez przytomności prawie; wszystkie tony i postacie, zmieniające się na scenie, przesuwaly się mimo niej, a ona nie wiedziała, co widzi i słyzy. Ile razy jakieś słowo lub zapytanie dziecka przebudziło ją z odrętwienia, musiał jej wzrok mimowoli otrzeć się o tę postać, która niegdyś była najdroższą dla niej na świecie, a teraz chociaż tak blisko, jakże była oddaloną od niej!

Skończył się akt pierwszy. W ciągu przerwy rozmawiał ojciec żywo z swoją córeczką, a Jadwiga pomimo spuszczonego oczu czuła nieraz, że wzrok jego spoczywał na niej. Gdy tak co chwila dolatywał ją dźwięk tego głosu, który niegdyś zachwycał ją słowami miłości — gdy siedziała tak sama jedna, jak obca, z osłupiałym wzrokiem — gdy słyszała owe pieczołtliwe wyrazy, jakimi dziecię przemawiało do ojca: — był stan jej duszy prawdziwą męczarnią, i wydało jej się jakby zbawieniem, gdy zasłona znowu się podniosła.

Dziewczę wzruszone żałością sceneryą więzienia, jak również potęgą niesłyszanych nigdy dźwięków, uchwyciło zlekka dłoń matki i przyciągnęło ją na swoje kolana; wkrótce potem wzięła także rękę ojca, złożyła obie te kochane ręce z wolna jedną na drugiej, okryła je z wierzchu swojemi drobnymi rączkami, i czuła się teraz swobodną i szczęśliwą. Od tej chwili drżał każdy ton podwójnie i potrójnie w sercach tak dziwnie połączonych małżonków. Wzruszająca serce świadomość własnego położenia zlewała się z potężnym wrażeniem opery, z porywającą grą i śpiewem artystki, której nikt nie był w stanie zapomnąć, kto ją raz widział i słyszał w roli Fidelia. Nigdy jeszcze ta wspaniała postać, na której utworzenie składały się poezya i muzyka, nigdy jeszcze to wcielenie świętej miłości małżeńskiej, nie były przedstawione tak po mistrzowsku, jak wówczas przez Wilhelminę Schröder-Devrient. Najgłębsza cisza panowała w całej sali, wszystkie serca były głośniejsze, ale żadne nie uderzało tak gwałtownie, jak serce Jadwigi, wzruszone do ostatecznej głębokości! Gdy nadeszła ta chwila, w której Florestan odzywa się do swej małżonki: „Ileż ty dla mnie cierpiałaś!“ — a Fidelio odpowiada z porywającym uczuciem: „Nic, nic, mój Florestanie!“ — zadrzała młoda kobieta jakby gromem rażona, zwróciła nagle twarz oblaną łzami do męża,

i z całą siłą dawnej miłości spotkał się jej lżawy wzrok z jego spojrzaniem! Równie silne uczucie zawrzało ku niej, ich ręce, które od pół godziny już leżały drżące na kolanach kochanego dziecięcia, splotły się teraz gorącym uściskiem, i gdy zwyciężko grzmiał radośny finał opery, wymienione zostały krótkie wyrazy uniesienia, które dwa rozdzielone serca, dwa rozerwane życia na wieki znowu spoiły!

(Festyn literacki) W pierwszej połowie września r. b. odbyła się w pewnym miasteczku Prowancji, osobnego rodzaju uroczystość i uczta literacka. W dawnej ojczyźnie trubadurów poeci mają jeszcze swoje stowarzyszenia na wzór średniowiecznych związków; otóż takie poetyckie stowarzyszenie sprosiło do siebie hiszpańskich i paryskich braci po piórze i po lutni. Zjechali się w gościnę do Prowansalów z Madrytu i Paryża literaci. Festyn odbył się wśród wspaniałej i malowniczej przyrody południa, w obec licznie zgromadzonej ludności, która rymy swych narodowych poetów na pamięć umie. Paryżanie uskarżali się tylko, że uczta, lubo obfita, składała się przecież z potraw zbyt suto czosnkiem i pieprzem przyprawionych. Wnoszono tam liczne toasty i wypowiedziano nie jedną mowę. Najgłośniejszy i najpopularniejszy z poetów Prowancji Mistral, autor kilku ładnych — o ile z tłómaczenia sądzić można — poematów, przemawiał do zgromadzonych w ojczystym języku:

„Ktoś może nas się zapytać“ odezwał się prowansalski poeta: „Czego chcecie z waszemi pieśniami w tej epoce, zajętej czem innym niż poezją — w epoce tak prozaicznej i tak zwątpiałej. Czego chcemy? oto chcemy, aby synowie nasi nie wychowywali się w pogardzie mowy ojczystej, aby ją pielęgnowali, aby ukochali nad wszystko i tę mowę i tę ziemię, gdzie się zrodzili wolnymi. Chcemy, aby nasze córki, zamiast podobać sobie w błyskotkach i fraszkach paryskich, polubiły rzeczy ojczyste, aby zachowały dawną naszych obyczajów prostotę, aby stroiły swe głowy nie w modne kapelusze, ale w arlezyjską wstęgę, poważną jak starożytny dyadem. Chcemy, aby nasz lud znał swe dzieje, pełne chwały, aby wiedział, że ojcowie nasi z godnością i dobrowolnie połączyli się ze szlachetną Francją, zastrzegając sobie zachowanie języka, obyczajów i barw narodowych. Trzeba, aby ten lud wiedział, że język, jakim mówi, był długi czas językiem politycznym i literackim, językiem miłości swobód municypalnych i cywilizacji. Chcemy, aby ten dzielny lud nie rumienił się przed nikim, nie uważał się za zwyciężonego, i aby mógł zająć pierwsze miejsce między ludami południowemi, bo to miejsce mu się należy.“

Myliłby się ten, kto by z téj mowy Mistrala chciał wnosić, że ludność Prowancji ma jakiegokolwiek zachcianki oderwania się i samoistnego bytu. Prowansale tak samo, jak Bretoni i Alzaccyzy, doskonałymi są Francuzami. Francya nie ma i nigdy mieć nie będzie swych... galicyjskich Rusinów.

(Maska żelazna). Jedną z tajemniczych postaci, które fantazja przybrała w jaskrawe farby we Francji, a ztamtąd rozniosła po świecie, jest „człowiek w żelaznej masce“, w drugiej połowie 17. wieku więziony. Mnóstwo domysłów, kto mógł być owym więźniem, badano historycznie, i nie mniejszą ilość powieści i dramatów na tajemniczej masce żelaznej osnuto.

Dotąd jednak nie wykryto ani nazwiska ani stosunków tego więźnia stanu. W Revue contemporaine bibliotekarz w Orleanie p. Loiseleur zebrał wszystko, co dotąd mniemano o owej tajemnicy, i podaje swój sąd o podaniach i domysłach. Według niego, maska nie była żelazna tylko aksamitna, taka jaką w Wenecji obowiązani byli nosić więźniowie stanu, gdy wychodzili na przechadzkę; we Francji użyto raz takiej maski dla jakiegoś więźnia — a ludzie mówili, że ona jest żelazna. Według domniemywań, okrywał się nią patriarcha Arvediks, hr. Vermandois, uboczny syn Ludwika XIV. książę Beaufort, książę Monmouth, drugi syn Cromwella, Fouguet, hr. Matthioli agent mantuański, nakoniec brat Ludwika XIV. Autor zajmuje się najwięcej dwoma ostatnimi wersjami, jako najprawdopodobniejszymi. Jednak Matthioli nie skrycie był więziony; umarł około 1687 roku, a na jego grobie położono kamień. Matka Ludwika XIV. miała kilkoro dzieci, i niewiadomo co się z nimi stało; lecz nie ma powodu domyślać się, aby jedno z nich trzymane było w więzieniu do śmierci. Saint-Mars gubernator różnych więzień stanu, a wreszcie Bastylii, miał pod swoim bezpośrednim dozorem kilku strzeżonych więźniów stanu, a przewożąc ich do Bastylii dawał im czarne maski na twarz — z czego urosła wieść o żelaznej masce. Autor rozprawy zbija twierdzenie, jakoby człowiekowi z żelazną maską oddawano honory; gdyż z pamiętnika jednego z oficerów podwładnych Saint-Marsa okazuje się, że człowiek z żelazną maską nie lepiej był traktowany od innych więźniów, a trzymany był na 3. piętrze wieży La Bartaudiere, i tam umarł w 1703 r. Pochowano go pod nazwiskiem Marchiali, i akt zejścia jego istnieje dotąd. Jako chorowitemu, pozwalano mu często wychodzić, ale nie inaczej jak pod maską i pod warunkiem, że do nikogo nie przemówi. Mimo jego dowodzeń, tradycja o żelaznej masce zachowała swój charakter, dopóki jakie współczesne jej dokumenta stanowczo nie wyświecą tej sprawy. A dokumentów tych może nie być, jak i maski żelaznej mogło nie być nigdy.

(Przebiegłość cygańska) Przy poborze wojskowym w pewnym mieście węgierskiem zjawili się między innymi jako popisowi: syn jakiegoś bogatego młynarza i biedny cygan. Młynarczykowi udało się podobno zjednać sobie urzędnika, cygan zaś nie mu dać nie mógł. Wszyscy powołani już losowali, pozostał jeszcze tylko protegowany młynarczyk i cygan, a brakło jeszcze jednego człowieka do kontyngensu, który miał być stawiony przez dany obwód. Coraz silniej biło serce zaniepokojonemu Cyganowi; z tego zwlekania i pozostawiania go na sam koniec z bogatym młynarczykiem, powziął podejrzenie i przeczuł podstęp. Obaj mieli do losowania przystąpić. Baczny na wszystko cygan z nieufnością rzucał dokoła okiem, i zdawało mu się, że miasto jednej czarnej a drugiej białej galki, obie galki w fatalnej urnie były czarne. „Ciagniej cyganie!“ zawołał urzędnik. Cygan się przestraszył, ale opierał się rozkazowi z pozorną pokorą i uniżonością: „Ach panie! przecież ja sobie jestem biedny cygan; jakżebym mógł mieć tyle zarozumiałości i zuchwalstwa, bym śmiał pierwszy galkę ciągnąć? Coby to o mnie pomyślał oto ten młody, wielmożny panie? Nie chcę go obrazić, nie mogę ciągnąć.“ „Czy ty będziesz ciągnął przeklęty cyganie?“ „Nie, nie! niechaj mnie

Bóg strzeże, żeby mi coś podobnego miało przyjść do głowy.“ Wszystkie jednak uwagi niespokojnie kręcącego się cygana były bezskuteczne. „Ciężniej cyganie, bo...“ Znaczący wzrok urzędnika zwrócony na panów hajduków przypomniawszy cyganowi, że ta ręka sprawiedliwości mogłaby zastosować doń niektóre paragrafy prawa natury, które od dawna dla cygana rosły w krzaku leśnym. Cygan zbliżył się zatem do fatalnej urny, jak najwolniej sięgnął do niej ręką, szybko wyciągnął jedną z czarnych gałek i w okamgnieniu ją połknął. Świadkowie tej sceny z niewymownym zdumieniem spoglądali na biednego cygana, ze wściekłością spojrzeli nań urzędnik. Jedno tylko przelotne, chytrze tryumfujące spojrzenie rzucił z pod oka cygan na młynarczyka. „Wyciągnąłem moją gałkę, teraz niechaj tamten losuje.“ Młynarczyk przystąpił do losowania i czarną wyciągnął gałkę.

(Rodzina samobójców). W Paryżu przy ulicy Riquette znaleziono wiszącego człowieka 70cioletniego. Sam wyjaśnił powód swego samobójstwa na piśmie. „Nie trzeba nikogo o mój zgon oskarżać. Powiesiłem się dobrowolnie, bo musiałem. Samobójstwo jest w naszej rodzinie dziedziczne. Mój dziad poderznął sobie gardło brzytwą; mój ojciec w łeb sobie wypalił i mój syn starszy to samo zrobił; moja córka utopiła się przed dwoma laty — i ja muszę uleść losowi, który od wieku przeszło naszą rodzinę spotyka.

(Pająki na wyspie Jawie.) Wyspa Jawa posiada równie jak archipelag indyjski zwierzęta szczególniejszego kształtu i rodzaju, osobliwie zaś owady zadziwiającej wielkości. Pomiedzy temi owadami odznacza się szczególnie pająk swoją nadzwyczajną postacią. Po lasach roją się pająki, niekiedy tak duże jak ptaki; a ukrywają się one w drzewach dziuplastych, obsadzonych rojami pszczoł, które setkami wytepiają. W kwietniu r. b. robił pewien Holenderczyk, mieszkający w Bakonie, wycieczkę do zielonych dolin wyspy, i w przechodzie dostrzegł na drzewie jakiś niezwykły ruch pomiędzy liśćmi. Ogromny pająk sprawiał sobie bankiet; opanowawszy gniazdo papuzie wysysał krew z młodego papużątka; długimi łapami obsaczył całe gniazdo, a szkaradny tułów jego, który zajmował sam srodek, pęczniał coraz więcej krwią swojej ofiary. W tej chwili nadleciała stara papuga, i usiadłszy na gałęzi, do której przyczepione było gniazdo, pochwyciła pająka za łapę i usiłowała oderwać ją od gniazda—ale próżna mazała! Łapa opierała się szarpaniom nieszczęśliwego ptaka, który wrzeszczał przytem przeraźliwie. Wreszcie pająk znudzony tą napaścią puścił swoją ofiarę, a rzucił się na nowego nieprzyjaciela. Pochwycił papugę za szyję swemi ośmioma łapami i zabierał się już do ssania, gdy ptakowi powiodło się dosięgnąć swoim ostrym zakrzywio-

nym dzióbem brzucha przeciwnika. Wtedy pająk, trzymając silnie łapami swemi papugę, spuścił się prędko na ziemię pociągając za sobą swoją ofiarę. Walka trwała do pięciu minut, aż wreszcie świadek tej osobliwszej sceny położył jej koniec rozgniatając pająka kolbą swojej strzelby.

ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ

Z ROKU 1868.

- Sluby cywilne z konieczności. Lwów 1868.
 Koźmian. Gramatyka, czyli kandydat do Rady powiatowej. Krotofila Kraków 1868.
 Turski J. K. Przewodnik dla zwiedzających kopalnie Wieliczki. Kraków 1868.
 Perrand A. Mowa żałobna na cześć generała Wład. Zamojskiego. (tł. ks. L. Ostrowicz). Poznań 1868.
 Callier E. Trzy ustępy z powstania polskiego 1863—4. Poznań 1868.
 Kremer J. Grecya starożytna i jej sztuka. Poznań 1868.
 Lelewel J. Polska, dzieje i rzeczy jej XVI wieku. Dzieje bibliotek i historii geografii i odkryć z dodaniem wielu tablic i przypisów E. Ryhaczewskiego. Poznań 1868.
 Pamiętniki z XVIII w. t. X. Cz. 1. Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. Poznań 1868.
 „ „ „ Cz. 2. Dokumenta do historii drugiego i trzeciego rozbioru. Poznań 1868.
 Kominkowski. Samodzielni i niesamodzielni. Kraków 1868. Brosz.
 Rocznik Towarz. nauk. krakowskiego XXXVI. Walewski. Dzieje Polski 1657—58. Kraków 1868.
 Pol W. O potrzebie zachowania pomników itd. Kraków 1868.
 Pol W. Legendy o św. Janie Kantym. Kraków 1868.
 Żywoć św. Jacka (nakł. Młockiego). Lwów 1868.
 Przędziecki A. Jagiellonki polskie w XVI wieku. I. II. Krak. 1868.
 Łuszczkiewicz W. O treści rzeźb ołtarza wielkiego w kościele Panny Maryi w Krakowie. Kraków 1868.
 Ekielski E. Wiadomości o archiwum aktów grodzkich i ziemskich województwa krakowskiego. Kraków 1868.
 Gondek F. ks. Gorzałka źródłem wszelkich zbrodni. Kraków 1868.
 Pamiętnik Towarzystwa dobroczynności. Kraków 1868.
 Czyste westchnienie do Boga. Lipsk 1868.
 Wilkońska P. Dziedziczka Jodłowca. Powieść 2 tomy. Warszawa 1868.
 Meiring M. Gramatyka łacińska (tł. Znamirowski) I. Lwów 1868.
 Prowe A. Abriss der Gesch. des Thorner Gymnasiums. Thorn 1868.
 Prowe A. West-Preussen in seiner gesch. Stellung zu Deutschland und Polen. Thorn 1868.
 Hückel E. Rys pedagogiki. Lwów 1868.
 Eckmann. Chatrian Teresa. Powieść. Warszawa 1868.

Kończąc niniejszem zeszytem pierwszy rocznik naszego pisma, składamy najszczerze dzięki Szanownej publiczności naszej za serdeczne poparcie, jakiego doznało od niej nasze przedsiębiorstwo, i rozpoczynamy w bieżącym miesiącu nowy rocznik z całą otuchą, jaką daje uczciwej pracy świadomość jej pożytku, połączona z tem miłym przekonaniem, że znajdzie i nadal łaskawe uznanie i poparcie. Wydawnictwo dokłada wszelkich starań i kosztów, ażeby pismem rozwijało się co raz świetniej tak pod względem literackim, jak i artystycznym, a pozyskane już dla nowego rocznika prace tak znakomitych piór, jak: Bolesławity, Godebskiego, Jeża, Lenartowicza, W. Pola, Zachariasiewicza, Boh. Zaleskiego i innych, są najlepszą rękojmią, że „Strzecha“ pragnie spełniać służbę swoją jak najchlubniej.

Zapisk Kulinskiy